

KUŹNICA

Rok V

Łódź, 20 marca 1949 r.

Nr 11 (184)

TYGODNIK SPOŁĘCZNO-LITERACKI

PAWEŁ HOFFMAN

WOLA ZORGANIZOWANA

To jest to samo Fontainebleau, w którym 135 lat temu Napoleon podpisał akt abdykacji. Francja leżała powalona i upokorzona. Dziś — rząd francuskich neokwislingów posłusznie zainstalował w Fontainebleau kwatery dla obcego sztabu generalnego.

Czy mamy w tym widzieć symbol francuskiej abdykacji w roku 1949? Pan Queille, mały premier narzucony wielkiemu narodowi przez amerykańską plutokrację, jest bardzo posłuszny. To za mało, że w pobliżu stolicy kwatruje amerykańsko-angielski sztab generalny. Pan Queille



Maurice Thorez

publicznie, w wywiadzie prasowym, zaprasza amerykańskie siły zbrojne do okupowania Francji. O ile nas pamięć nie myli, nie on pierwszy we Francji wpadł na ten pomysł. Przecież to znany kolaborant kardynał Suhard (ten sam, którego znamy z entuzjastycznych pochwał na łamach pewnych tygodników w Polsce) jeździł gdzieś w początkach roku 1943 do Rzymu i za pośrednictwem najwyższych sfer kościelnych prosił, żeby z chwilą wypędzenia Niemców wojska amerykańskie obsadziły Francję. Kardynał Suhard, znakomity filozof-moralista, jest, jak widać, dalekowszocnym politykiem i świetnym znawcą swego narodu. Już wtedy, przed sześciu laty, gdy naród ten prowadził ciężką walkę z hitlerowskim najazdem, kardynał-kolaborant prosił, żeby go wyzwoleńcy walczyli z francuskim ludem — oprzeć się o obcą, wrogą Francji siłę.

Stara kolaboracja podaje rękę nowej, uczy ją mocno stąpać po drodze zdrady, po koleżeńsku dzieli się z nią swymi doświadczeniami. Ludzie Pétaina, Laval i Maurrasa z ufnością i nadzieją patrzą na ludzi Schumana, Bluma i de Gaulle'a. Dumnemu zawołaniu Ruchu Oporu: „France d'abord” — Francja przede wszystkim — obóz rządzący dziś w ojczyźnie nowoczesnego patriotyzmu przeciwstawia brudny slogan nowojorskich geszefciarzy: „America first” — Ameryka przede wszystkim!

W imię tego sloganu Francja, zmarshalizowana przez swych burżuazyjno-socjal-demokratycznych ministrów-agentów Departamentu Stanu, sprowadza dziś wino z Chile a wyroby perfumeryjne z USA. W imię tego sloganu francuski przemysł filmowy pada pokonany przez amerykańską szmirę pornograficzno-kryminalną, przymusowo importowaną do Francji na mocy haniebnego układu Blum — Byrnes. I oto neokwislingowska większość Zgromadzenia Narodowego znosi nietykalność poselską

komunisty Rogera Garaudy, wybitnego filozofa i krytyka, za to, że wraz z całą swą partią wystąpił w obronie francuskiej suwerenności, za to, że wypowiedział walkę grabarzom kultury francuskiej, ludziom, którzy na rozkaz amerykańskich bankierów i fabrykantów depczą honor Francji. Za to Garaudy ma pójść pod sąd, za to „socjalista” Moch podejmuje i szykuje dziś przeciw komunistom i związkowcom kroki w rodzaju tych, które — zastosowane pod koniec roku 1939 przez Daladiera — utworowały hitlerowski czołg drogę do Paryża a Pétainom i Lavalom drogę do władzy.

Ale to znaczy, że Francja, że naród francuski nie abdykuje. Analogie historyczne zawsze kuleją. Dzisiejsze Fontainebleau w niczym nie jest podobne do tamtego Fontainebleau z roku 1814. Cokolwiek powiemy o Napoleonie, o jego roli we Francji i w Europie, nie był on zdrzącą kraju, zausznikiem obcych, wrogich Francji rządów, tak jak ówczesna burżuazja francuska, której dążenia reprezentował, kontrrewolucyjna już burżuazja Dyrektoriatu, Konsulatu i Cesarstwa zgola nie jest podobna do dzisiejszej burżuazji francuskiej, która z nienawiścią do ludu sprowadziła na kraj hańbę roku 1940, która służyła hitlerowskiemu najeźdźcy, która w roku 1949 oddaje Francję w gospodarczą, polityczną i duchową niewolę dolarowemu chamstwu.

Ale różnice sięgają głębiej. Wtedy — w roku 1814 — nie było we Francji siły, która mogłaby przeciwstawić się upokorzeniu ojczyzny. Przegrana przez Napoleona wojna była zresztą wojną zaborczą. Dziś Francja jest po wielkim zwycięstwie w wojnie z hitleryzmem wygranej przez naród francuski w szeregach światowego obozu wolności i demokracji — pod przewodnictwem wielkiego państwa socjalistycznego i klasy robotniczej wszystkich walczących krajów. Dziś jest we Francji siła patriotyczna, która czynnie przeciwstawia się polityce Fontainebleau, jest rewolucyjna, komunistyczny proletariatus, ten sam, który w czasach pétainowskiej hańby ocalił honor narodu a teraz stoi na czele wszystkich Francuzów walczących z następcami Pétaina. Proletariat, który przemówił słowami mężnej deklaracji Thoreza, przewodzi narodowi francuskiemu w walce z czynnikami, które podporządkowały swoją politykę dewizie „America first”, które dewizie tej chcą podporządkować interes i honor Francji. Dlatego Queille prosi dziś wojska amerykańskie o wyładowanie na francuskim brzegu, dlatego Roger Garaudy idzie pod sąd. Dlatego, że lud francuski nie abdykuje, że pod sztandarem marksizmu prowadzi walkę z obozem abdykacji i zdrady narodowej.

„America first” — Ameryka przede wszystkim — przeciwieństwo hasła do złudzenia przypomina tak dobrze nam znane „ueber alles”. Amerykański Weltrich ma być urzeczywistnieniem tego, co nie udało się (powieszonym w Norymberdze) budowniczym weltrichu niemieckiego. Ci, którym śni się światowe imperium dolarowe, idą śladem tamtych (powieszonych w Norymberdze). Chamstwo dysponujące zdobyciami najnowszej techniki wyobraża sobie, że dość zwerbować na swe usługi dwa tuziny nowych Lavalów, Paveliczów i Tisów, kreować ich premierami w krajach starej wysokiej kultury, żeby policyjnymi środkami zdławić tam opór sił patriotycznych, żeby drżącymi ze strachu rękami Queille'a i Mocha, de Gasperiego i Saragata zamknąć usta i związać ręce Thorezowi i Togliattiemu. Naśladowcy Hitlera i Goeringa sądzą, że dość zagrozić ludom wyzwolonym z jarzma imperializmu na olbrzymim obszarze od Łaby do Jang-Tse-Kiang, od Oceanu Lodowatego do Pamiru, żeby wymusić ich zgodę na wprowadzenie „erw amerykańskiej”. Imitacjami słynnych „osi” i

„paktów antykominternowskich”, różnymi „uniami zachodnimi” i „paktami północno-atlantycznymi” (z udziałem Niemiec Zachodnich i Turcji) grozi dziś wolności narodów i pokojowi świata nekana trudnościami gospodarczymi, zagrożona kryzysem, obłąkana z trwogi plutokracja amerykańska.

Słabość szaleńców nie zwalnia od czułości. Na usługach wielkich szaleńców stoją w różnych krajach mniejsi — premierzy i ministrowie spraw zagranicznych, „socjaliści” i „katolicy”, gorliwie spełniający rozkazy zza Atlantyku, otwierający swoje kraje dla penetracji amerykańskich towarów, amerykańskiej tandety filmowej i literatury pornograficznej, amerykańskich szpiegów, dywersantów i prowokatorów werbowanych wśród szumowin wszystkich narodów. Na usługach imperializmu stoją w różnych krajach literacy i filozoficzni chwalczy amerykańskiego „stylu życia” i „amerykańskiej wolności” od zasad moralnych.

Dla imperializmu pokój jest nieszczęściem — wojna byłaby katastrofą. To prawda. Taki jest nasz wiek, w którym „wszystkie drogi prowadzą do komunizmu”. Ale nowa wojna byłaby katastrofą dla ludzkości. Nie chcemy i nie potrzebujemy wojny z imperializmem, bo jesteśmy dość silni materialnie i moralnie, żeby w pokojowej rywalizacji dwóch systemów gospodarczych, dwóch „stylów życia”, dwóch jakże różnych koncepcji świata wykazać narodom wyższość koncepcji socjalistycznej. Jesteśmy przekonani, że współistnienie, więcej, pokojowa współpraca obu systemów jest dziś możliwą najzupełniej realną. Wiemy, że są w Ameryce ludzie, jak Wallace, bardzo dalecy od marksizmu, którzy myślą tak samo i z głęboką troską patrzą na desperacką politykę kół rządzących dziś za Atlantykiem; wiemy, że ludzie ci czynnie przeciwstawiają się niebezpiecznej dla pokoju, niebezpiecznej dla narodu amerykańskiego oficjalnej polityce USA, gdyż jest ona sprzeczna zarówno z interesami jak z dążeniami tamtejszego społeczeństwa. Widzimy, że w Stanach Zjednoczonych wzrasta w



Palmiro Togliatti

siły obóz, który rozumie, iż polityka imperialistycznej ekspansji w myśl zasady „America first” jest dla narodu amerykańskiego równie katastrofalna, jak katastrofalna była dla narodu niemieckiego zbrodnica polityka, próbująca urzeczywistnić zasadę „Deutschland ueber alles”. O wzroście sił pokojowych w USA świadczy m.in. zwołanie na koniec tego miesiąca amerykańskiego Kongresu Obrony Pokoju z u-

Wpisano do kontrolki periodyków
i Miazkiej wydziałni kated.
dla dorosłych

dn. 20-3 19 49 r.

„Głos wolności i równości, powtarzany z uniesieniem i gorącym upragnieniem, niecił wstręt do wszystkich przedawnionych a zespanych urzędzeń, których występki z obrzydzeniem się obnażyły”.

Joachim Leleweł

TREŚĆ NUMERU:

- PAWEŁ HOFFMAN —
WOLA ZORGANIZOWANA
- STEFAN ŻÓŁKIEWSKI —
WIZYTA W PRADZE
- ALEKSANDER JACKIEWICZ —
POWIEŚĆ O KOMUNIE
PARYSKIEJ
- SIBILLA ALERAMO —
TRZY WSPOMNIENIA Z POLSKI
- KANDYD —
PODSŁUCHANA ROZMOWA
- LEON GOMOLICKI —
ALEKSANDER GRIBOJEDOW
JAKO DZIAŁACZ POLITYCZNY
- JAKÓB LITWIN —
REWOLUCYJNA NAUKA
PRZECIW REAKCYJNEJ UTOPII
- MAO-TSE-TUNG —
SNIEG
- JAN KOTT —
PAMFLET NA OKRES
PIERWOTNEJ AKUMULACJI
- JERZY WALEŃCZYK —
WIERSZE
- PETRAS CVIRKA —
SŁOWIK
- A. L. GNIADOWSKA —
LITEWSKA LITERATURA WALKI
- JANINA PRĘGERÓWNA —
SIEDEMNASTU OPOWIADAŃ
RADIOWYCH
- EDWARD CSATO —
W STRONĘ SZEKSPIERA
- MARIUSZ MARGAL —
NOWE FILMY
- PRZEGLĄD PRASY
- NA PÓŁKACH KSIĘGARNI
- NOTY

działem kilkuset postępowych przedstawicieli wszystkich dziedzin amerykańskiego życia społecznego i kulturalnego, zjednoczonych w szeregach „ruchu wrocławskiego”.

Naiwnością i nieostrożnością byliby przy tym liczenie na to, że samo słowo ludzi dobrej woli może powstrzymać zapędy szaleńców. Słowo w obronie pokoju musi reprezentować realną, masową siłę stojącą na straży pokoju. Taką siłą, jaką reprezentuje słowo Stalina — i taką jaką reprezentuje słowo Thoreza i Togliattiego. A taka zjednoczona siła — siła mas ludowych całego świata skupionych pod przewodem rewolucyjnej klasy robotniczej, materialny i moralny potencjał narodów wyzwolonych spod władzy kapitału i skupionych pod przewodnictwem potężnego mocarstwa socjalistycznego — góruje nad siłami dogorywającego imperializmu szarpanego sprzecznościami, pogrążonego w chaosie gospodarczym i politycznym. Zwyczajnie intelektualne i moralne, panujące w imperialistycznym domu wariatów, panicznie ucieczka przed rozumem w sferę wstecznej, degradującej człowieka, irracjonalistycznej mistyki w filozofii, nauce, literaturze i sztuce — to objawy słabości i rozkładu systemu, którego szaleństwu należy przeciwstawić zorganizowaną siłę światowego obozu postępu i wolności.

Można przypuszczać, że imperializm dobrze się zastanowi, czy warto mu desperackim „skokiem w nieznane” przyspieszyć swą zagładę. Trzeba jednak, żeby jego kierownicy nie mieli żadnych wątpliwości co do tego, jaka jest postawa narodów wobec imperialistycznej polityki agresji. Trzeba, żeby politycy igrający z ogniem usłyszeli na całym świecie tę samą odpowiedź, jaką usłyszeli z ust Thoreza i Togliattiego. Trzeba, żeby dokładnie zdali sobie sprawę z tego, jak wielka

(Ciąg dalszy na str. 3)

STEFAN ZÓLKIEWSKI

WIZYTA W PRADZE

PISARZE czescy i słowaccy zjechali się po raz pierwszy na swój wspólny zjazd. Obrady toczyły się w Pradze 4, 5 i 6 marca. Zjazd zainicjował nowy etap polityki literackiej i życia literackiego Czechosłowacji. Charakter zjazdu praskiego zrozumieć można tylko na tle lutowego przełomu, którego rocznica minęła w tym roku. Wtedy bowiem Czechosłowacja weszła zdecydowanie na drogę budownictwa socjalistycznego, zlamala istotnie silny opór reakcji, co wyraziło się przede wszystkim w nowej polityce gospodarczej.

Rezultaty tego przełomu ujawniające się w polityce literackiej osadził i zrekapitulował zjazd pisarzy. Dokonano przede wszystkim szeregu przeobrażeń organizacyjnych. Zjednoczyli się dotychczas odrębne związki pisarzy czeskich i słowackich. Przeprowadzona została selekcja dotychczasowego składu członków. Zjednoczony związek liczy obecnie 280 pisarzy, a więc blisko dziesięć razy mniej niż oba związki. Nie weszli do zjednoczonego związku liczni dziennikarze, autorzy książek szkolnych, ludzie od wielu lat nieczynni literacko. Przeprowadzono również selekcję ideową.

Obrady zmierzały zasadniczo do sformułowania zasad nowatorstwa literackiego, nowatorstwa ideologicznego w oparciu o filozofię i estetykę marksizmu. Ludzki sens tych dążeń wyraził najładniej w zjeździe praskim przedstawiciel francuskich postępowych pisarzy. Przypomnił on, iż latem 1939 pisał powieść o najpiękniejszej ze spraw ludzkich, o miłości. W miesiąc później był już żołnierzem. Rzucił pióro na długo. Prześladowany przez okupantów krył się i walczył. Gdy hitlerizm został rozbity, zaprzagnął powrócić do swojej książki. Ale zrozumiał, że nie jest to możliwe. Siły, które uniemożliwiły mu pisanie o miłości w 1939, nie są bynajmniej całkowicie zwyciężone. Walka trwa. Miejsce pisarza jest wśród walczących. Obowiązkiem jego jest być zaangażowanym. Właśnie po to, by już można było wreszcie pisać swobodnie piękne książki o najpiękniejszej ze spraw ludzkich. W ciągu trzydniowych obrad mówił w Pradze wielu mówców. Referowali i dyskutowali. Odczytany został

list Prezydenta Republiki do pisarzy (streszczony w naszej prasie codziennej), powitał zjazd premier Zapotocky, witali delegaci związków pisarzy radzieckich, polskich, bułgarskich, rumuńskich, węgierskich oraz postępowi pisarze Francji, Anglii, USA, Ameryki Łacińskiej i Norwegii. Zasadnicze przemówienia wygłosili: powszechnie znany pisarz czeski Jan Drda (autor „Miasteczka na dnie” i „Igraszek z diabłem”) oraz krytyk słowacki Chorwath.

Znakomity referat dokonywujący gruntownych rewizji tradycyjnych poglądów na charakter nurtu postępowego w czeskiej literaturze XIX w. wygłosił minister oświaty profesor Nejedly. Aktualne i polityczne postulaty nowatorstwa literackiego sformułował minister informacji Kopecky i „povernik” ministra oświaty na Słowację Novomesky.

Wymienieni wyżej mówcy ograniczyli się jednak do sformułowania ogólnych postulatów w języku publicystyki społecznej, nie próbowali natomiast przełożyć ich na język estetyki, na język analiz krytycznych konkretnych książek współczesnych.

Pisarze czescy podkreślali wielokrotnie — iż cenią sobie próby polskiej krytyki formułowania postulatów wobec literatury właśnie w języku problematyki artystycznej. Im samym przeszkodził w takim postawieniu sprawy — niedostatek krytyki. Potrzeby stworzenia przodującej, torującej drogę nowatorstwu krytyki formułowali z naciskiem wszyscy mówcy z głównym referentem Drdą na czele.

Niemniej jednak obrady w wielu punktach wykazywały daleko idącą dojrzałość ideową czeskosłowackiego życia kulturalnego.

Po pierwsze — sprawa literatury dla dzieci i młodzieży. U nas te doniosłe zagadnienia uchodziły uwagi krytyki i dyskusyjantów na polskich zjazdach. Odsobniona Helena Bobińska walczyła z tą dżunglą głupstwa, szmiry i zastojów, którą tworzy u nas literatura młodzieżowa. W Pradze sprawa ta stała się przedmiotem poważnych i trafnych rozważań. Podobnie głębiej i kompetentniej niż kiedykolwiek u nas przyszukiwali pisarze czeskosłowaccy problem literatury

filmowej. Zwalczano energicznie koncepcje „czystego filmu” z lat międzywojennych, filmu bez literatury, tworzono przez reżysera. Interesująco zostały sformułowane postulaty „filmu autorskiego”, filmu literackiego. Trzeba to traktować jako oczywistą konsekwencję zerwania z formalizmem w sztuce filmowej.

Również silniej niż u nas zabramy postulaty jak najwydatniejszej pracy pisarzy nad tzw. małymi formami — jak felieton, artykuł, odesła. Problem „małych form”, właśnie publicystycznych wydaje mi się szczególnie ważny i dla odnowy naszej literatury.

Zyjemy pod fałszywą sugestią romantycznej, czy wręcz dziewiętnastowiecznej, mieszczańskiej kultury lekceważąc te małe formy. Wielkie formy literackie dobrze pełniły swą rolę w okresie Odrodzenia i nawet pseudoklasycyzmu. Ale jakże wtedy były pełne i różnorodne! Jak łatwo wypowiadało się wierszem konkretną treść życia! Przypomnieli wystarczy reformacyjne wierszowane pamflety i modlitwy, poradniki gry szachowej noweli i kroniki historyczne. Tymczasem kultura mieszczańska wsterylizowała poezję. Zbyt wiele tematów uznano za niegodne wiersza. Oczywiście wielu pisarzy uchronił koncepcję poezji pełnych ludzi. Unowocześnił ją Majakowski-publicysta. Lecz mimo wszystko, wydaje mi się, że rodzaje poetyckie już nie stanowią najadekwatniejszych form wyrażania nowych treści, szczególnie właściwych naszej kulturze, podczas gdy te właśnie role pełniły dla kultury Odrodzenia i Reformacji. Powieść, jak słusznie mówi Lukacs, stała się epopeją mieszczaństwa, najadekwatniejszą formą wyrażania mieszczańskiej wiedzy o świecie.

Kształtująca się dziś nowa kultura ludowa, znajdzie dość treści, by ożywić nimi i wielką poezję i wielką prozę. Ta nowa kultura jest szczególnie pełna treści dyskursywnych, po brzegi wypełniona problematyką ideologiczną, ścieraniem się idei, uogólnionej wiedzy o świecie. Gdy ktoś przegląda dokumenty, które (choćby w Polsce) zostały po sobie działalność kulturalna mieszczaństwa, proletariatu i chłopów u schyłku XIX w. widać dobrze rodzajowe różnicowanie tych do-

kumentów właściwe dwu klasowym nurtom kulturalnym współistniejącym i walczącym w społeczeństwie klasowym. Mieszczaństwo — klasa panująca wypowiada się w tradycyjnych wielkich formach i szczególnie rozwija powieść. Chłopi — dają pamiętniki, raczej świadectwa indywidualnej doli — niż dokumenty kolektywnego działania kulturowego. Proletariat — tam gdzie sam tworzy, a nie jest przedmiotem mieszczańskiego, choćby żyłowego, obrazu beletrystycznego, wypowiada się przede wszystkim w publicystyce. Antymitologiczny, polityczny charakter robotniczej kultury, zdecydowanie dyskursywna forma ścierania się idei sprzyja temu. Z tradycji kultury ruchu robotniczego, z rozpowszechnienia dyskusji ideowej, z politycznej analizy zjawisk wyrasta szacunek dla „małych form” — publicystycznych. Dlatego to owe „małe formy” zajmują tak ważne miejsce w nowej kulturze, dlatego stanowią tak wyraźną cechę tej kultury w zakresie literackim dlatego kultywowanie ich jest tak wyraźną dyrektywą twórczą wyrastającą z istotnych potrzeb typu nowatorstwa właściwego kulturze ludowej naszego czasu.

Sądząc, że postulat współpracy z prasą proletariacką, postulat elastycznego, politycznego reagowania na aktualną rzeczywistość jest łatwiejszy do zrealizowania za pośrednictwem małych form.

Mistrzowie nowego piśmiennictwa — jak Erenburg — celują w nim. W Związku Radzieckim szczególnie uprawia się szkic (np. Galin) jako rodzaj literacki. Należy więc i nam — za przykładem Czechów zatroszczyć się o te sprawy doład zaniedbane w naszych dyskusjach literackich. Zwłaszcza, że młoda generacja naszych pisarzy zdradza w tym zakresie przerażające niedoświadczenie.

Młodzi nasi pisarze, i nie więcej nie potrafia. Nie wyduszą od nich ani doręcznej recenzji, ani felietonu, ani szkicu. Są jedynie szlachetne wyjątki (np. Borowski, Worosylski, Hartwig jako reportażystyka). Zanika u nas typ francuskiego, wszechstronnego pisarza-postawca, który potrafi po prostu widać dobrze piórem — i w powieści i w publicystyce (Np. Aragon — patrz jego kroniki w „Europe”).

Rozpisałem się na ten temat, bo nie jest on bynajmniej marginesowy. I oby się stał tematem dnia w naszych dyskusjach literackich — bodaj przez parę miesięcy.

Sytuacja życiowa większości pisarzy czeskich wygląda zasadniczo inaczej niż polskich. Pisarze czescy i słowaccy prawie wszyscy pracują w prasie codziennej, w redakcjach. Nie uniemożliwia im to pracy pisarskiej, bo ani tempo pracy w redakcjach nie jest tak wariackie jak u nas, ani sztab redakcyjny tak szczupły jak w naszych piśmiarniach, ani wreszcie warunki techniczne pracy nie są tak prymitywne jak w naszych zniszczonych przez wojnę drukarniach i wydawnictwach. Toteż chcą oni i umieją pracować dla periodyków. Mam nieopłaconą nadzieję, że potrafią wypracować nowy typ masowej, wysoce ideowej „małej formy”: felietonu, szkicu, essayu, odeszy.

Nie należy sądzić, iż cała dyskusja praska poświęcona była jednostronnie obowiązkom politycznym literatury. Ta problematyka przeważała, ale jest też niewątpliwie problematyka nowatorstwa kulturalnego naszych czasów. Dyskusję zakończyła przecież pięknie i mądrze Maria Pujmanowa, mówiąc o tym, że literatura winna ludziom dawać radość, i wzruszenie, wzruszenie nad pięknem.

Zakończenie zjazdu praskiego zbiegło się z początkiem tygodnia przyjaźni polsko-czeskiej. Zainteresowanie naszą literaturą wśród pisarzy i czeskosłowackiego ogółu czytającego jest bardzo duże. Czesi wydają książki niezwykle pięknie i starannie. Witryny księgarskie to prawdziwa rozkosz dla bibliofilów. W księgarniach pełno jest polskich nowości. Leżą tam wybrane wiersze Staffa (ł. Jan Zawada), leży antologia poezji polskiej J. Pilarza), leżą obie powojenne książki Andrzejewskiego, „Miasto” i „Samson” Brandyśa — „Rajska Jabłoń” Gojawicyńskiej, „Szekspir” Rudnickiego, świeżo wydany tom nowel „Za mir sveta” z pracami Andrzejewskiego, Borowskiego, Dąbrowskiej, Gojawicyńskiej, Iwaszkiewicz, Nalkowskiej, Pruszyńskiego, Putramenta, Rudnickiego. — Jest „Rzeczywistość” Putramenta, powieści Kruczkowskiego, z klasyczny nowy przekład „Lalki” Prusa i wiele innych książek. W gazetach mamy przekłady fragmentów prozy, nowel, nawet polskich artykułów krytycznych. Dokonanie lwiej części tej pracy jest zastągnięciem niezmordowanej Heleny Teigowej, zastępującej naszą literaturę celuje tygodnik społeczno-literacki „Kulturna Polityka” — żywy, popularny, bojowy i dobrze informujący oraz codzienna gazeta związku pisarzy „Lidove noviny”, która obok normalnego materiału informacyjnego zawiera codziennie masę materiału literackiego i kulturalnego. W teatrze grane są obecnie „Odwet” Kruczkowskiego.

Te trzy dni literackich narad w pięknej, zimowej Pradze wspominać jak madrą, ważną i bardzo osobistą rozmowę z przyjacielem.

Książka tygodnia

ALEKSANDER JACKIEWICZ

POWIEŚĆ O KOMUNIE PARYSKIEJ

POWIEŚĆ Jeana Cassou pt. „Paryż we krwi”, jest książką charakterystyczną dla fazy, jaką przechodzi współczesna powieść od negacji do akceptacji życia, w klimacie warunkującym tę przemianę. W powieści francuskiego pisarza mamy obraz Paryża w historycznych dniach rewolucji r. 1871. Narratorem jest młody mieszczański, Teodor Quiche. On też gra główną rolę w utworze, chociaż jego los, luźno związany z losem walczącego miasteczka, nie jest na tyle reprezentacyjny, aby stać się indywidualną a zarazem typową ilustracją zagadnienia ogólnego.

Podobnie ustawia Brandys swego bohatera w stosunku do okupacyjnej Warszawy. Obydwaj narratorzy nie są związani z żadną określą grupą ludzką, ani z żadnym określonym zadaniem. Są ideowo dość bezbarwni, ich, bardzo osobiste, a jednocześnie bardzo płynne i przypadkowe, sprawy wychodzą na plan pierwszy przed konkretnym i dobrze oddanym w obydwu powieściach faktem historycznym i społecznym. Wątek głównego bohatera osłabia dynamikę utworu. Rozbija każdą z tych powieści na powieść psychologiczną — typową dla dwudziestolecia, oraz społeczno-realistyczną — o ambicjach nowych.

Pozycja społeczna Teodora Quiche, umiejscowiona na niższych klasach mieszczańskiej, decyduje o wyborze ideologii, a raczej o przyznaniu się do niej, bo Quiche nie wybiera. Polityka nie płynęła w jego krwi. Przepelniała go namiętność do kobiet w ogóle i do jednej kobiety w szczególności, oraz rozwodniony romantyzm, na jego osobisty użytek, przechodzący zbyt często w sentymentalizm i czułość. Jak błądzą jest Teodor na tle historii, która rozrywa się do końca niegło! Jest bledszy od bohaterów Cellena, bo, odbarwiony przez autora z negatywnych elementów, nie znalazł jeszcze drogi do grona twórczych postaci w literaturze.

Pewna sytuacja, zresztą dość brutalnie, zbliża Teodora do czynnego zniecia określonego stanowiska na rewolucyjnym froncie: jest to moment rozstrzelania zakładników. Teodor bierze na cel ksziedza, chcąc przez to zabójstwo zerwać ostatecznie ze swoją mieszczańską przeszłością. Do strzału jednak nie dochodzi. Dzieje się to słusznie, bo gdyby autor pozwolił dokonać tego czynu swemu bohaterowi, nie biorącemu właściwie udziału w żadnej określonej akcji powstańców, w żadnej samorządnej walce postawiłby go w sytuacji bardzo dwuznacznej. Rolę Teodora, wśród bojowników rewolucji wystarczająco nieprzyjemnie oświetla inna sytuacja: gdy ojciec jego kochanki, Marii Róży, ideowy żołnierz Komuny, w momencie ostatecznej klęski powstańców, woła: „Chodźcie, dżiatki! Chodźcie bronić naszego domu!” — Teodor,

zajęty tylko swoją miłością, odpowiada z zapalem: „Tak, chodźmy do domu! Znajdzie się tam przecież łóżko...” W kontekście utworu słowa te nie wywołują takiego niesmaku, jak tu, ujęte w cyt. Nie mniej jednak charakteryzują stanowisko bohatera. Po dejrżwam nawet, że dzieje się to trochę wbrew woli autora.

Mimo te dysproporcje, sprawy publiczne, obraz społeczeństwa, walka polityczna — nie dają się w powieści zagłuszyć. Zwłaszcza że pisarz odwarza je ze znacznie większą pasją niż watek Teodora. Podczas lektury ma się takie wrażenie, że chwytły powieści psychologicznej głęboko weszły w ramię Cassou, i, chociaż nie wycyżają już nowych dróg, są przydatnym narzędziem tam, gdzie nowy realizm staje jeszcze beznadziejny. Za to chwytły realistyczne umiejętności opowiadania regiony tematów, których nie dotknął psychologizm, lub z którymi nie umiał sobie poradzić.

Społeczny obraz przedrewolucyjnego Paryża oraz przebieg samej rewolucji są oddane w sposób znacznie bardziej wynalazczy niż dzieje bohatera. Cassou w pierwszej części utworu wnikiwie analizuje środowisko mieszczańskie, jego wewnętrzny hierarchie, opartą o stan posiadania. Umiejętnie wytycza granicę ekonomiczną i światopoglądową, nie tylko pomiędzy mieszczaństwem a proletariatem, lecz i samej klasie posiadającej. Niestety był mas pracujących, który przeżył zadowolony i wybuchu rewolucji, został w pierwszej części utworu za słabo uwzględniony. Pisarz wprowadził też do tej części za mało rewolucjonistów świadomych, którzy nie tylko zwalczają istniejącą ustrój, lecz dążą do określonych form stosunków międzyludzkich, które mają go zastąpić.

Niedociągnięcia tej partii utworu rekompensuje waleń wielki obraz samej rewolucji. Przejmujący jest nastrój jednych w swoim rodzaju dni wolności, gdy z ludu spadają wiekowe pięta, gdy życie zyskuje nieznaną mu dotąd barwę. „Jesteśmy wolni. Jesteśmy w obecnej chwili wolniejsi niż kiedykolwiek!” — wołają ludzie nie mogący się jeszcze oswoić z nową sytuacją. Są niecierpliwi życia, które się zaczyna. „Czy wiesz, że teraz zapanuje równość między ludźmi!” — mówi Teodor do Marii Róży. Te słowa naberają konkretnej treści, i chociaż w entuzjastycznym nastroju rewolucjonistów nie wiążą się jeszcze z żadnym określonym obrazem przyszłego porządku świata, oznaczają jednocześnie przekreślenie nieludzkiej przeszłości.

Walki powstańców są przedstawione z doskonałą plastyką. Czuje się w nich pełną prawdę spontaniczność, zwłaszcza wówczas, gdy czerwony Paryż zaczyna zdawać sobie sprawę, że siła wojsk rządowych uniemożliwiła powstanie całego ludu francuskiego, że

lud nie był jeszcze do walki gotowy, że Paryż, wyspa wolnego proletariatu, jeszcze świeża nie zapali.

Dni upadku Komuny są oddane w powieści Cassou bez odrobiny patosu, chociaż tworzą bohaterką legendę. Pisarz umie operować masą ludzką, umie ją różniczkować, umie porwać czytelnika siłą samych zdarzeń.

W tych najświeższych partiach książki autor — batalista przygłuszony autora-ideologa. Tej dysproporcji stara się przeciwdziałać komentator rozprawyjących się wypadków, młody filozof postępowy nazwiskiem Becker. Becker mówi: „My pozostaniemy u bram historii... Wiem, że kiedyś wybuchnie rewolucja i że moja ofiara nie okaże się zbyteczną”. Szkoda jednak, że pisarz postawił go, podobnie jak Teodora, na marginesie rewolucji, a tym samym jego komentarz wytyczał z akcji utworu. Słusznie i potrzebnie niekiedy tryady młodego filozofa — hamują tempo powieści, zbyt często mać je silnie rozwinięty sceptycyzm komentatora. „Cóż my tu robimy? Co ja robię... Nasze postacie nie zmieniają się: zostają podrzędne, nieokreślone, takie, jakie chcieliśmy, aby były — my, którzy drążymy je od wewnątrz jedynie” — mówi Becker o sobie i o Teodorze. Co robią bohaterowie rodem z literatury dwudziestolecia w książce rewolucyjnej realisty?

Prócz nich istnieją w powieści dwie postacie, nad którymi warto nieco się zatrzymać. Są to: delegat Komuny do Spraw Wojny — Rossel, oraz generał wojsk rewolucyjnych, Polak — Dąbrowski. Są one ulepione z innej gliny niż Teodor i Becker. Rossel stoi jeszcze na pograniczu koncepcji bohatera psychologizującego, biernego i bohatera realistycznego, epicznego, czynnego. Jego rozważania na temat wyboru między pojęciem ja i my, upodobnia go jeszcze do Beckera, lecz jednocześnie jego aktywna i zdecydowana postawa do końca, zbliża go do Dąbrowskiego.

Rola Polaka w powieści Cassou, zarówno wiązku do końca, zbliża go do Dąbrowskiego. Rola Polaka w powieści Cassou, zarówno od strony jego ustawienia w fabule, jak i od strony jego opisu literackiego, opisu przez jego czynny a nie myślny, wskazuje kierunek literackiej ewolucji, rozprawyjącej się w tonie powieści. Dąbrowski jest ściśle spójny z ideowym rdzeniem utworu, jest reprezentacyjnym dla mas walczących proletariatu. Ukazany został jednak fragmentarycznie, jakby autor jeszcze nie czuł się dość mocno w obliczu bohatera nowego typu.

Erenburg powiedział kiedyś, że kultury nie można dzielić na kawałki, że kultura jest jedna. Nie da się też podzielić literatury. Nie da się jej również zatrzymać na starych pozycjach, bo zwyrodnienie — chociaż nowe będzie zdobywać w retelnym, lecz trudnym wysiłku.

Aleksander Jackiewicz

Stefan Zółkiewski

SIBILLA ALERAMO

TRZY WSPOMNIENIA Z POLSKI

We Wrocławiu prości ludzie
każdego dnia u drzwi Kongresu,
Kongresu Pokoju,
oczekiwali nas, Delegatów z każdego kraju,
i milcząco uparcie patrzyli.
Tych spojrzeń, tych spojrzeń nie zapomnimy.
Tej żarliwości, tej natężonej nadziei.
Zjawiliśmy się im jako posłańcy przyszłości,
my z Włoch i z Indii,
z Afryki, z Francji, z Meksyku i Rosji,
pokój na zawsze ubezpieczający.
O ugodzony ludu polski,
tak sobie nas wyobrażałeś ty,
który więcej od jakiegokolwiek innego na świecie
wiesz co oznacza słowo wojna.

W Warszawie, gdzie spokojna Wisła przepływa,
w Warszawie — wojna, puste oczodoły,
olbrzymie kamienne ciało, które jeszcze krwawi,
jeszcze zastygłe, jeszcze z obcętymi rękami...
Lecz odrodzone życie już krąży i wre;
życie — stocznia, życie — dzieło.
Kwiaty ozdobią każdy nowy balkon
Lecz na jednym z kraców miasta
rozciąga się kwadrat przerażający,
faszyści nazwali go ghettem,
opasali wysoko,
zamknęli w nim tysiące, tysiące Żydów,
potem uciekając zażęgli niewiarygodny stos.
Dzisiaj straszliwy kwadrat
jest tylko nagą równiną gruzów.
Ktoś nazwał to księżycowym krajobrazem.
Lecz nie, Jesteśmy na ziemi,
niedaleko stąd wschodzą zbroja,
płynię Wisła.
I właśnie na tej ziemi, przed paru laty
i właśnie na tej ziemi taką zbrodnię
umieli popełnić ludzie.

Kraków, piękny i cudownie nieśmiertelny,
starożytny Kraków, który kochał Lenin,
lecz nawet on nie pozwalała zapomnieć.
Niedaleko stąd jest obóz oświęcimski.
Drżymy stawiając tam stopy.
Stawiając tam stopy drżymy.
Oto w okrutnym muzeum stos włosów,
nie są to warkoczki brzoź, lecz włosy kobiet,
i piramidy kobiecych sukien,
i spleśniałe bućki dziecięce.
Gdy zmęczenie, głód i tortury
zamieniły uwieczonych w szkielety,
nagich i ograbionych
duszający gaz zwałal z nóg.
Tak, i również tam było ich miliony,
przez cztery lata, tam w Oświęcimiu.
Oświęcim, pole wyniszczenia,
Oświęcim, ponury obóz błota,
błota ziemi i błota duszy.
Dozorcy niewolników nazywali siebie ludźmi,
jak my, wstyd nam ścisła gardło,
wstyd, że również my jesteśmy z ciała i krwi.

Nie płacz, nie krzyż, gardło było ściśnięte.

Lecz teraz we wspomnieniu, dzięki ci, Polsko,
za dzielną twarz, za płonącą twarz,
którą widzieliśmy wszyscy, my z czterdziestu narodów,
i za to, że nam rozrzuciła sere
swoim przykładem, odrodzona przez śmierć tyln.
Polsko, wierząca w ludzką bardziej prawdziwą,
dzięki ci, wspaniałomyślna i droga,
za nieposkromioną, w nas rozpoznaną
wolę działania w jedności aż do ostatniego tchu,
aby nigdy nie powróżyła się hańba wojny,
by nigdy już ręce ludzi
nie przyniosły zniszczenia krajom i narodom.

Przełożyła Mieczysława Buczkówna

Sibilla Aleramo jest poetką włoską. Brała udział w Kongresie Pokoju
we Wrocławiu.

Wola zorganizowana

(Dokończenie ze str. 1)

jest siła broniąca ludzkości przed katastrofą. Ale trzeba też — i trzeba przede wszystkim — żeby narody same w pełni uświadomiły sobie własną siłę, żeby zdały sobie sprawę z środków i metod skutecznego przeciwstawienia się obłudnej polityce imperialistów, pozbawienia ich wszelkiej możliwości „skoku w nieznaną”.
Trwająca od dłuższego czasu „ofensywa pokoju”, zainicjowana konkretnymi propozycjami ZSRR, rozwija się z widocznym powodzeniem — po prostu dlatego, że kierunek jej odpowiada dążeniom narodów, jak również dlatego, że prowadzi tę ofensywę realne, potężne i coraz potężniejsze siły na całym świecie. Rozgarnia on obozie imperialistycznym, zakłopotanie i zdenerwowanie jego kierowników świadczy o celowości i skuteczności prowadzonej we wszystkich krajach masowej akcji obrony pokoju. Ze wsieckości nie jest dowodem siły — wiemy równie dobrze, jak to, że dowodem siły jest pokój po stronie tych, którzy o swojej sile wiedzą. Nasz pokój, płynący z poczucia naszej siły, wyraża się w tym, że nie tylko nie zaraził się szerzoną przez imperialistów psychozą wojenną, ale też w tym, że pozytywnym udziałem w stabilizacji stosunków międzynarodowych, naszym gospodarczym udziałem w powojennej odbudowie Europy przeciwdziałamy tej psychozie daleko poza naszymi granicami, przyczyniając się do wzmocnienia sił pokoju.
Wyrazem tej naszej postawy jest cała nasza polityka wewnętrzna, poświęcona pracy nad gospodarczym i kulturalnym podniesieniem kraju, jest nasza polityka zagraniczna, w której występujemy jako czynnik pokoju i równouprawnienia narodów. Międzynarodowa akcja intelektualistów w obronie pokoju narodziła się właśnie w polskim mieście Wrocławiu; tu powstał ubiegłej jesieni Międzynarodowy Komitet Łączności Intelektualistów, który — rozszerzony przez akces wielu masowych organizacji społecznych — zwoluje na koniec kwietnia do Paryża kolejny, jeszcze liczniej od wrocławskiego obselany światowy Kongres Pokoju, poprzedzony różnymi kongresami krajowymi.
„Ruch wrocławski” staje się potężnym ruchem skupiającym w imię obrony pokoju ludzi wszystkich narodów i ras, którzy w czynnym współdziałaniu całego obozu antyimperialistycznego widzą swoją własną drogę.
„Znaczący to — mówił na wiecu w paryskiej Mutualité włoski malarz Renato Guttuso — że nie jesteśmy już bierni wobec ludzkości, która również przestała być bierna, że czujemy się wciąż związani z walką i z nadzieją ludzi pragnących świata bardziej wolnego i bardziej sprawiedliwego”.

Paweł Hoffman

KANDYD

PODSŁUCHANA ROZMOWA

W Szczecińskim Zjeździe Literatów Kandyd wziął udział jako obserwator. Pilnie notował swoje uwagi, słuchał przemówień i dyskusji, medytował i rozmyślał. Spacerując w kulaarach, usłyszał także wiele nieoficjalnych rozmów, prowadzonych żartem lub serio przez uczestników Zjazdu. Pewnego dnia, w czasie obiadu zdarzyło się, że podsłuchał przypadkiem dość żywy dialog, tocący się obok niego, przy sąsiednim stoliku. Rozmówców było dwóch. Jak się okaże poniżej, jeden był powieściopisarzem, a drugi krytykiem. Stenogram Kandyda podajemy bez zmian.

POWIEŚCIOPISARZ

SŁYCHAŁ kolega przemówienie Wata? Dostało się w nim naszym krytykom. Moim zdaniem zresztą bardzo słuszenie. Nasi krytycy to nieznośni ludzie. Mówią tylko o tym, czego nie piszemy, wiedzą lepiej od nas jak należy pisać, a niektórzy posuwają się doprawdy zbyt daleko, twierdząc, że współczesna literatura polska w ogóle nie istnieje.

KRYTYK

Być może, że kolega ma trochę racji. Krytycy zalewają wam sadła za skórę i są czasami niesprawiedliwi — ale trudno bez nich żyć. Niech kolega posłucha takiej anegdoty: Edmund Goncourt w „Dzienniku” opisuje swoją wizytę u Sary Bernard. W salonie wisiała klatka, w której papuga żyła razem z małpką. Podobno małpka zjechała się nad papugę w niemożliwy sposób: ciskała w nią orzechami, wyrzucała pióra, targała za dziób. Biedny ptak krzyczał po całych dniach ludzkim, rozpaczyliwym głosem. Ale gdy pewnego razu Sara Bernard postanowiła ulżyć jego doli i przeniosła małpkę do innej klatki w sąsiednim pokoju — papuga tego samego dnia o mało nie umarła z tęsknoty. Małpka została więc przeniesiona z powrotem i nieszczesna para długi jeszcze czas pędziła wspólne burzliwe życie...

POWIEŚCIOPISARZ

Hm. To zabawna historia. Jeśli jednak nasi krytycy mają być ową małpką z anegdoty, to muszę zauważyć, że analogia nie jest zbyt ścisła. Krytycy, których mam na myśli, są nie tyle złośliwi, ile maniakalni. Oczywiście, nie mówię o wszystkich. Mówię tylko o tych, którzy oceniają książki z punktu widzenia swoich osobistych gustów czy założeń, czasem najzupełniej dowolnych, nieuzasadnionych, nie mających oparcia w żadnym systemie wartości ani w żadnej metodzie. Najczęściej są to tzw. „krytycy bezstronni” przy czym bezstronność ma w tym wypadku oznaczać niezwiązanie z żadnym obozem politycznym, czy ideologicznym. Takich niestety, jest u nas jeszcze wielu.

KRYTYK

Nie chcę być złośliwy. Ale, kolega chyba jest wyjątkiem. O ile się nie mylę, sytuacja przedstawia się przeciwnie: pisarze narzekają raczej właśnie na przesadne upolitycznienie krytyki, niż na jej ideologiczną bezbarwność. Proszę: z jednej strony aktywny, nieustraszony obóz krytyki marksistowskiej, miotający swe postulaty jak pociski — z drugiej strony przemysłna, lecz konsekwentna i zawsze wierna swym dogmatom krytyka katolicka. Jakież miejsce dla tych „bezstronnych”, o których kolega wspomina?

POWIEŚCIOPISARZ

Z tymi pociskami krytyki marksistowskiej, to lekka przesada. Gdyby tak było! Wiem, wiem! Żółkiewski, Sokorski, Kott, Borejsza, Matuszewski, Ważyk, Markiewicz... Nazwisk dałoby się ostatecznie zebrać, wiele. Ale niech kolega im się uważnie przypatrzy: z wyjątkiem dwóch czy trzech, są to ludzie, którzy krytyką literacką w ścisłym sensie zajmują się mniej lub bardziej pobocznie. I może dlatego marksistowska działalność krytyczna nie posiada dotychczas ciągłości, nie zdołała wypracować konsekwentnego, jasnego stosunku do współczesnej literatury. Nie potrafili także wychować narbyku. To co w pierwszym okresie po wyzwoleniu, w toku gorących dyskusji, pisali Żółkiewski, Kott, Ważyk, Matuszewski — dzisiaj młodzi aspiranci krytyki marksistowskiej po prostu zamieniają nierzaz w naklejkę i bez przemyślenia wlepiają je w co trzecie zdanie swoich re-

cenzi. Na skutek tego dzieje się krzywdą zarówno pisarzom jak i krytyce.

KRYTYK

No, a krytyka katolicka? Jeśli kolega jest zwolennikiem oparcia oceny krytycznej na określonym systemie wartości, to w tym wypadku, gdyby nawet sam system wydał się koledze fałszywy, należałoby jednak uszanować...

POWIEŚCIOPISARZ

Krytyka katolicka? A czy ona w ogóle istnieje? Weźcie do ręki ostatnie numery „Tygodnika Powszechnego”. Spróbujcie wyciągnąć z nich myśl krytyczną obozu katolickiego. Próżny trud. Od długiego czasu krytyka katolicka ogranicza się tylko do przemilczania książek lewicowych pisarzy. Od długiego czasu po każdej wybitnej książce postępowego autora — recenzenci „Tygodnika Powszechnego” biorą wodę w usta. A pamiętam przecież okres w którym bywało inaczej. Pisano tam niegdyś o nas, kłóciono się z nami. Teraz cisza. O czym to świadczy? Czy tylko o taktyce politycznej? Winszuję taktyki, która każe pomijać milczeniem najważniejsze fakty literackie współczesnej literatury! Ale moim zdaniem, to nie tylko taktyka. Widzę w tym objaw wygasania zasobów intelektualnych obozu katolickiej reakcji. Oto charakterystyczny szczegół: redaktor i czołowy publicysta „Tygodnika Powszechnego” ogłosił niedawno artykuł na temat polityki i kultury. Przyznaje, że od dawna czekali na taką wypowiedź z tamtej strony i byliśmy jej ciekawi. Ale jakież było nasze zdumienie, gdy przeczytaliśmy ten artykuł, w którym publicysta i krytyk katolicki na poparcie swych tez operuje szeroko argumentami pisarza z wrogiemu sobie obozu, pisarza lewicy, członka Komunistycznej Partii Włoch! Oczywiście, ten fakt przede wszystkim stawia w jaskrawym świetle widomy ubytek sił myślowych naszej krytyki katolickiej, która po trzech latach poszukiwań musi czerpać zasoby w obcych źródłach.

KRYTYK

Czy kolega nie jest zbyt surowy? Wydaje mi się, że przyczyną przemilczania pewnych utworów jest po prostu brak piór recenzentów. Skarżą się na to wszystkie redakcje.

POWIEŚCIOPISARZ

Kolego, jesteście zbyt prostoduszni. Brak piór recenzentów, zgoda. Ale dlaczego tak się dzieje, że na omówienie sześciu dorocznich tomów Jana Dobraczyńskiego nigdy w „Tygodniku Powszechnym” nie zabraknie pióra recenzentkiego?

KRYTYK

Chwileczkę. Jeżeli rzecz o Dobraczyńskim, to przypominam sobie pewien artykuł w postępowym piśmie, artykuł postępowego pisarza, w którym autor przyznawał czołowe miejsce wśród współczesnych prozaików polskich nie komu innemu, tylko właśnie Dobraczyńskiemu, postępując jednocześnie powieściopisarzy obozu postępu. Czy również i w tym należy się dopatrywać ukrytych wpływów „Tygodnika Powszechnego”?

POWIEŚCIOPISARZ

Dotknął kolega tego, o czym mówiłem na początku. Zagadnienia tzw. „krytyków bezstronnych”, czyli moimi słowami „krytyków maniaków”. Autor wspomnianego artykułu, skądinąd pisarz niewątpliwie utalentowany, upodobał sobie pewne cechy, które wniosła literatura amerykańska ostatnich lat. Cechy te odkrył w Dobraczyńskim. Potoczność stylu, świadome czy przypadkowe niechlujstwo kompozycji, reportażowość, „surowość” — to wszystko czym kilku pisarzy północnoamerykańskich upoiło mieszczańskiego odbiorcę na zachodzie Europy — wywarło również wpływ na paru naszych literatów. Czy mamy im to za złe? Broń Boże. Ale wśród nich znaleźli się „krytycy-maniacy”, którzy zaczęli oceniać rozwój współczesnej literatury w Polsce z tych, nowo odkrytych pozycji. Przestało ich obchodzić wszystko inne, oprócz kilku maniakalnych postulatów: potoczność, niechlujstwo, reportażowość, surowizna. I jeden z nich wyciągnął za uszy autora „Najeźdźców”, wyciągnął go do góry wając: „Oto macie nowoczesność, czyli niechlujstwo i surowiznę!”

Gdyby znaleźli się naiwni, mógłby z tego powstać poważny mentlik. Ale na szczęście wspomniany pisarz należy do gatunku „maniaków kapryśnych”. Znu-

dzieli się po jednym artykule, puścił uszy Dobraczyńskiego i twórcy „Najeźdźców” opadł z powrotem tam, skąd go wydobyto: na grzędę grafomanów. To, oczywiście, pierwszy z szeregu przykładów. Ale takich faktów jest więcej. Razem wzięte, wywołują one nieopisaną zamęt w dziedzinie sądów, ocen i wartości. Nieszczęsny czytelnik, który przywykł słowo drukowane darzyć zaufaniem, może się w tym wszystkim zgubić. Prawdziwa hierarchia wartości literackich w tej chwili — na zewnątrz — nie istnieje. To wina tych krytyków, którzy zapominają, że system ocen krytycznych musi wynikać z konsekwentnego poglądu na świat, a nie z mniej lub więcej dowolnych spostrzeżeń.

KRYTYK

Czy kolega przypadkiem nie mówi o rzeczach urojonych? Gdzież ta dowolność ocen? Przecież krytyka w Polsce zajmują się ludzie na ogół poważni nieraz nawet na profesorskich katedrach. Nie sądzę, aby można im było zarzucić brak naukowego systemu. Przeciwnie, dotąd, jak mi się zdaje, pisarze narzekali raczej na zbyt dużą pedanterię i teoretyczność w analizach utworów.

POWIEŚCIOPISARZ

Mówi kolega o polonistach?

KRYTYK

No, powiedzmy...

POWIEŚCIOPISARZ

Jeśli idzie o polonistów, to rzeczywiście nie stracili oni ani jednej z swych dotychczasowych wad i nie nabyli żadnej z nowych zalet. To twardy gatunek. Polonistyczne literaturoznawstwo istotnie operuje od lat gruntownie wypracowanym systemem. Ten system polega na zabijaniu zjawisk literackich, które się ocenia. Genialny system, w którym zawsze wszystko się sprawdza, pod tym warunkiem, że omawiany utwór musi przedtem dokład-

nie zeszytnieć. Zna pan tę opowieść o wynalazcy, który wymyślił szafę do rozbierania? — Działa niezawodnie — twierdzi — tylko, jak dotąd, ubrania ani razu nie udało się ocalić. To jest nasza polonistyka. Na szczęście, ostatnie zjazdy młodych polonistów, a zwłaszcza ubiegły, w Łodzi, zapowiadają zmiany na lepsze nawet i w tej dziedzinie.

KRYTYK

Więc jednak miał pan na myśli polonistów?

POWIEŚCIOPISARZ

Niekoniecznie. Przede wszystkim — „apolitycznych mętnołów”.

KRYTYK

Ale kogo? Proszę konkretnie, po nazwisku

POWIEŚCIOPISARZ

Nie używam dzisiaj nazwisk. Ludzie, o których myślę, znajdują się zbyt blisko. Przyjechali przecież na Zjazd. Ale i tak kolega odgadnie o kim będę mówił. Czy zna kolega tego krytyka, który lubi tylko takie książki, w których wszystko jest napisane „jak w życiu”? W których z kranu właśnie kapalo, kiedy pani Zielińska przypaliła ciasto, w których bohaterzy wypalają na każdej stronie przynajmniej jednego papierosa i gdzie dokładnie wiadomo, jakiego koloru kalesony nosi główna postać?

KRYTYK

Rzeczywiście, są może i tacy.

POWIEŚCIOPISARZ

Na pewno są tacy, ale co gorsza, kiedy nie znajdują w książce swych ulubionych przysmaczków, krzyczą wielkim głosem, że to nie jest realistyczna literatura. Dopiero kilku poetów, powieściopisarzy i działaczy kulturalnych musiało puścić

przeciw nim w obieg termin „mały realizm” i wyciągnąć z lamusa inny, nieco już zapomniany: „naturalizm” — aby zrobić trochę hałasu. Tak, te terminy gożą nie tylko w twory literackie, które je ilustrują, ale również w działalność krytyczną, która uprawia wskazane przez nie zjawiska. Podobnie bowiem jak istnieje drobnorealistyczna czy naturalistyczna powieść, istnieje także drobnorealistyczna czy naturalistyczna krytyka. I nie wiadomo, co jest groźniejsze.

KRYTYK

Najbardziej chyba zwalczany przez ludzi koleże podobnych był zawsze formalizm. Spodziewałem się, że wymieni go kolega na pierwszym miejscu, jako objaw najbardziej sobie wrogi.

POWIEŚCIOPISARZ

Z inteligentnym formalistą, kolego, przyjemnie czasem się pokłócić. Ale u nas łatwiej spotkać żyrafę w Alejach Jerozolimskich, niż inteligentnego formalistę. Wie kolega jak wygląda nasz formalizm? Dam przykład. Znacnie krytyka, który obliczył, ile razy autor w swojej książce użył słowa „więc”? I tego, który spostrzegł, że pewien powieściopisarz w określonych sytuacjach używa „wołacza”. Czy tego wreszcie, co wynotował, że autor w momentach, gdy pragnie stworzyć atmosferę wzruszenia, posługuje się mową pozornie zależną? To jest nasz formalizm. Przygodna stylometria albo zawodowe „tapeciarstwo” czyli podpatrywanie powtarzających się motywów — wystarcza niektórym krytykom do oceny utworu. Poczem stwierdzają z satysfakcją, że są „bezzstronni” i „apolityczni”. Z przykrością muszę zauważyć, że formalisci bywali niegdyś bardziej wyszukani.

KRYTYK

Czyżby należał kolega do tych podejrzliwych ludzi, którzy posadzają „apolitycznych” i „bezzstronnych” o... nieszczerłość lub też nieświadome torowanie drogi reak-

cyjnym prądem literackim? Przecież, chociażby wzięwszy tę „stylometrię” czy „tapeciarstwo” — cóż to w rezultacie może szkodzić? Przeciwnie, sądzę, że tego rodzaju badanie utworów przyczynia się do krzewienia wyszukania dla środków literackich, wysubtelnia odbiór. Ukazuje dzieło sztuki, jako skomplikowany mechanizm...

POWIEŚCIOPISARZ

Niech i tak będzie. Ale skoro staje się ono jedynym i wystarczającym celem krytyki, jeżeli ocena pomija społeczną wymowę utworu lub traktuje ją co najwyżej, jako przymusowy wykup składany kilku marksistowskim dziwakom w rodzaju Żółkiewskiego — wówczas sprawa zaczyna być szkodliwa. Radziłbym ponadto naszym mętnołów zastanowić się nad własnym politycznym wizerunkiem. Nie nad tym, jaki sami chcą widzieć, lecz nad tym, jaki rysuje się obiektywnie, na tle politycznego układu teraźniejszości. Zdaje mi się, że nie jeden z nich byłby zdumiony na widok tego, co zobaczył. Albowiem większość naszych mętnołów, to ludzie nieświadomi istotnego obrazu swojej działalności. Nie rozumieją lub nie chcą zrozumieć, że zacieranie ideologicznego sensu dzieła sztuki stanowi w dzisiejszych czasach wielką szkodę dla sprawy kultury.

KRYTYK

Czas iść na obrady. Na zakończenie chciałbym jedno koleże powiedzieć. Wy, pisarze, stwarzacie ciężką dolę nam, krytykom. Doprawdy trudno nieraz z wami się dogadać.

POWIEŚCIOPISARZ

Czy zna kolega tę anegdotę? Edmund Goncourt opisywał w „Dzienniku” swoją wizytę u Sary Bernard. W salonie wisiała klatka, w której papuga żyła razem z małpką...

usłyszał i spisał
Kandy

LEON GOMOLICKI

Aleksander Gribojedow jako działacz polityczny



Aleksander Gribojedow

GRIBOJEDOW należał do tej samej generacji co większość poetów-dekabrystów. Był rówieśnikiem Rylejewa i o dwa lata starszy od Bestużewa-Marlińskiego. W czasie wojny z Napoleonem był chorążym Iruckiego pułku huzarskiego. Lecz w 1813 został przeniesiony do kawaleryjskiej rezerwy i dlatego nie wziął udziału w triumfalnym marszu wojsk rosyjskich po Europie. Wówczas Rylejew, dopiero co mianowany chorążym brygady artyleryjskiej, przeszedł z armią Księstwo Warszawskie, Śląsk, Prusy i Bawarię, aby paradować na placach Paryża. W czasie, kiedy w Petersburgu wystawiano pompacyjne balety-alegorie o zwycięstwie cara rosyjskiego nad dwunastoletnią armią Napoleona, owi młodzieńcy zbierali wrażenia w Europie. Nastroje rewolucyjnej Europy miały swój odpowiednik w Rosji, gdzie po wojnie niezadowolone ogarnęło szerokie masy ludowe i drobnoszlacheckie.

Próbe odzwierciedlenia ich dał Gribojedow w swojej komedii „Bieda z tym rozumem”. Ostatnie dwa akty tej komedii kończą w majątku swego przyjaciela z czasów wojny, Stefana Biegiczewa, członka rozrządzonego Związku Dobra Publicznego. To lato spędzał we dworze Biegiczewa również szwagier jego brata, słynny organizator partyzantki podczas wojny 1812 roku, poeta Denis Dawydow. Powiedzenie jego, rozpoczynające jeden z wierszy: „Partyzantem jestem, nie poetą” parafrazował Rylejew w dedykacji „Wojnarowskiego” w formule: „Obywa-

telem jestem, nie poetą”. Biegiczew i Dawydow osiedli na wsi rozgoryczeni z powodu niesprawiedliwego pominięcia ich przy rozdawaniu nagród, którymi obsypywano zasłużonych carskiego faworyta Arakcejewą, lizusów i protegowanych biurokratów. W domu Biegiczewa panowały niechęć i krytyczny ustosunkowanie się do rzeczywistości wojennej. Łączyły się one z rozczarowaniem samego Gribojedowa. Autor „Biedy z tym rozumem” spodziwał się razem z liberalnymi kołami inteligencji szlacheckiej, że wstrząs wojny wywoła wreszcie reformy polityczne. Tymczasem nadzieje zawiodły, a także zawiody ruchy rewolucyjne, stłumione na Zachodzie. Reakcja zdjęła maskę, w życiu zatrumfował wyzysk, połączony z ignorancją i wstecznictwem. Rozczarowanie i smutne wnioski znalazły swoje odbicie w satyrze Gribojedowa. Autor komedii nie ukrywał, że groteskowe postacie, wprowadzone do niej, są sportretowane, ale karykatury te urosły do wymiarów symboli moralnego rozkładu społeczeństwa szlacheckiego. Jedyny pozytywny bohater komedii Czacki napróżno usiłuje demaskować ogólną obłudę, karierowiczostwo, ignorancję społeczeństwa obszarników i biurokratów. Postać jego zresztą była również typową dla odwrętej opozycji, którą reprezentowała inteligencja drobnoszlachecka. Wówczas ci rzecznicy równouprawnienia i wolności myśleli jeszcze po części kategoriami encyklopedystów. Budowali obszernie opracowane projekty konstytucji na piasku, licząc jako na głównych realizatorów przewrotu na kilku młodszych oficerów, którzy poprowadzą za sobą ślepa siłę żołnierzy.

Oczywiście, inteligencja szlachecka przede wszystkim zwracała uwagę na oplakaną sytuację mas ludowych, a nawet występowała w ich obronie. Sprawa uwłaszczenia chłopów była w rolniczym kraju — Rosji od czasów Radyszczewa główną sprawą postępu i sumienia. W okresie przed powstaniem dekabrystów Gribojedow zaprojektował utwór, w którym po raz pierwszy z wyjątkową wyrazistością miał być postawiony temat doświadczenia do głosu mas ludowych.

Już w 1824 przystępując do przededogowania „Biedy z tym rozumem” Gribojedow wyraził się o niej, jako o „zadaniu drobnym, nie pokrywającym się z pragnieniami; z pasją do nowych pomysłów, do nowej wiedzy” i zwierzał się, że chętniej napisał by tragedię. Wówczas naszkicował kilka nieurzeczywistnionych planów utworów dramatycznych, w których uwzględnił historyczną rolę ludu. M. in. planował tragedię z okresu wojny z Napoleonem „Rok 1812”, zamierzając wskazać na niewyżyskanie niezadowolonych i gniewu, wywołanego w prostym ludzie rosyjskim niewdzięcznym stosunkiem do jego bohaterskiego udziału w wojnie. Bez wątpienia i tu zostały odzwierciedlone nastroje twórcy partyzantki, Denisa Dawydowa.

Aby dostatecznie zrozumieć reformę, z którą mamy do czynienia w tej tragedii Gribojedowa, należy wspomnieć o ogólnym cha-

rakterze literatury wojennej owych czasów. Były to „burapatryotyczne” apoteozy narodowe, sztywne gruby miemi na kanwie „historii generałów”. Gribojedow wbrew oficjalnym tradycjom tej literatury, próbuje przedstawić wojnę jako wyzwoleniec ruch narodowy. Głównym reprezentantem idei wyzwolenia staje się w jego interpretacji prosty lud, który wobec tchórzostwa i zdrady szlachty i biurokracji, jedyny staje w obronie ojczyzny i doprowadza wojnę do zwycięskiego końca. Bohaterem dramatu zrobili Gribojedow chłop pańszczyźniany. Po odrocie armii napoleońskiej bohater ten, uosobienie szerokiej masy chłopstwa, wyzyskiwanego przez panów, zamast wynagrodzenia w postaci uwłaszczenia, dostaje się w to same jarzmo pańszczyźnianego. Szlachta zajmuje swoje dawne pozycje uprzywilejowane, zbierając plony zwycięstwa ludu. Chłop zaś powraca pod bat swego pana, który pałsi się nad nim i doprowadza do samobójstwa. Wyrazna tendencja wywyższenia roli ludu w wojnie i podkreślenie nastrojów mas ludowych, przygotowujących powstanie chłopskie, miały zwrócić uwagę przyjaciół Gribojedowa na siłę, na której należało oprzeć się przy realizowaniu planów rewolucyjnych.

Lecz szlachta demokratyczna, występująca w charakterze obrońcy ludu, wcale nie zamierzała wyrzec się swoich przywilejów w przyszłym zreformowanym życiu państwa. Wym. Konstytucja teoretyka Związku Północnego, Murawjowa była nader umiarkowana. Powstania chłopskie, nie ustające z czasów Piotra I i Katarzyny, przypominały szlachcie chłopską wojnę Pugaczowa. Powstanie w 1820 w Siemionowskim pułku gwardyjskim, krwawo stłumione przez Miłkołaja, zrobiło ujemne wrażenie w postępowych kołach szlachty. Nawet Puszkina ze strachem pisał o przejawach gniewu żołnierzy. A przecież było to ujawnienie nastrojów, o których Gribojedow miał zamiar powiedzieć w swojej nienapisanej tragedii. Pod tym względem demokratyczne poglądy Gribojedowa były zjawiskiem raczej wyjątkowym. Na tle ogólnych nastrojów frondy szlacheckiej, orientacja autora „Roku 1812” na rewolucję ludową, była objawem wewnętrznej polemiki Gribojedowa z dekabrystami Niemniej widzimy go w tym okresie prawie wyłącznie w środowisku czołowych działaczy-dekabrystów.

Co do udziału Gribojedowa w samej akcji przedpowstaniowej dekabrystów, sprawa ta pozostaje dotychczas niewyjaśnioną. Dnia 26 stycznia 1826 roku Gribojedow był aresztowany na Kaukazie i przewieziony pod eskortą feldjegra do Petersburgu. Lecz po złożeniu zeznań przed komisją śledczą został zwolniony już 2 czerwca. Na szczęście organom śledczym nie wpadła do rąk korespondencja Gribojedowa z lat 1824—1825, która wcale nie przedstawiała się tak niewinnie. Wówczas Gribojedow przebywał w Petersburgu, mieszkając razem z A. Odo-

jewskim i Bestużewem, a w maju 1825 wyruszył śladem Mickiewicza na południe Rosji. Udając się na miejsce służby na Kaukaz, zrobił on wielki juk przez Kijów i Krym, zamiast prostej drogi przez Moskwę w Kijowie wypełniał jakiegoś instrukcję jednego z głównych organizatorów powstania Muchanowa. Tu została zaprojektowana trzytygodniowa wycieczka na Krym z przerwą w podróży i zatrzymaniem się w Lubarze, gdzie Gribojedow spotkał wysłańców Związku Północnego. W Kijowie pisał do W. Odojewskiego: „Zapraszają mnie koniecznie do Bercyczewa na jarmark, który rozpocznie się jutrze: chcą mnie tam poznać z Rzewuskim”. Do Bercyczewa jednak Gribojedow się nie wybrał, w drodze zaś na Krym otrzymał wiadomość że Rzewuski znajduje się już w Odessie. Spotkanie najprawdopodobniej nastąpiło w pobliżu Symferopola w samotnej willi Gustawa Ołizara, gdzie odbywały się narady spiskowców. Tu według wszelkiego prawdopodobieństwa dnia 29 czerwca zatrzymali się na krótko Gribojedow i Rzewuski z Mickiewiczem. Na to mamy dowody w postaci dziennej podróży do Krymie Gribojedowa i listu Rzewuskiego wysłanego tego dnia z Symferopola. Z dziennika Gribojedowa dowiadujemy się, że zwierzył on „parcele Ołizara” przed obiadem, że dzień był pochmurny i że do domu dochodziły „szumne, jednostajne pluskanie fal”. Później Gribojedow pisał do Biegiczewa w liście, prosząc, ażeby go nikomu nie pokazywał: „O Czatyrdahu i południowym brzegu — w swoim czasie...” i w innym miejscu listu: „Zobaczysz, że mnie to nie ujdzie na sucho”. Wszystko to razem nie przedstawia wątpliwości, że wyjazd na Krym Gribojedowa był związany z pewną tajemniczą misją.

W czasie powstania dekabrystów Gribojedow zwierzał się w liście do petersburskich przyjaciół: „Jakie to ruch u was w Petersburgu! A tutaj... poczekamy”.

Na Kaukazie był w bliższych stosunkach z rewolucjonistami gruzińskimi, których program polityczny nawiądywał projekt ustroju konstytucyjnego Murawjowa. Rewolucjonisci gruzińscy brali udział w opracowaniu przez Gribojedowa projekcie zreformowania południowego Kaukazu. Szeroko zarysowany projekt Gribojedowa wskazywał na szkodliwość rabunkowej gospodarki kolonialnej caratu i wysuwał plan kulturalnego i przemysłowego odrodzenia tego kraju. M. in. Gribojedow projektował wykupienie chłopów pańszczyźnianych osiedlenie i zatrudnienie ich w gruzińskich plantacjach na brach wojnego najmu. Ekonomiczne postępowo-burżazyjne tendencje tego projektu, jak również demokratyczne tendencje Gribojedowa przerastały światopogląd dekabrystów.

Ta ciekawa działalność urwała się 30 stycznia 1829 roku, kiedy Gribojedow został zabity w Teheranie gdzie stał na czele rosyjskiej placówki dyplomatycznej.

JAKUB LITWIN

Rewolucyjna nauka przeciw reakcyjnej utopii



Marks w r. 1848

KIEDY Marks pisał „Nędzę filozofii” (1846 — 1847), rewolucja stała za progiem. Francja była nalażowana konfliktami klasowymi. Toczyły się walki między burżuazją przemysłową a finansową (która za Ludwika Filipa była u steru rządów), między drobnomieszczaństwem a burżuazją w całości, między proletariatem a klasami posiadającymi. Marks bez wahania stanął po stronie rewolucji i proletariatu. A Proudhon? Pisał 17 marca 1846 roku do Marksa: „Nie powinniśmy stawiać na akcję rewolucyjną jako na środek przeobrażeń społecznych, ponieważ domaganie się tej metody będzie po prostu wznowieniem do siły, do samowoli...” (cyt. u R. Garaudy „Les sources francaises du socialisme scientifique”, str. 146). Czego więc pragnął?

La constitution des fortunes modernes, l'universation de la classe moyenne” (ustanowienie umiarkowanych majątków, upowszechnienie klasy średniej) Tymi słowami charakteryzował swój socjalizm. Nie proletariacki, tylko drobnomieszczańskimi. „Pan Proudhon — pisał Marks w liście do Annenkowa — jest od stóp do głów filozofem, ekonomistą drobnomieszczaństwa. Drobnomieszczaństwo w rozwiniętym społeczeństwie staje się, pod przemożnym naciskiem swej sytuacji, z jednej strony socjalistą, z drugiej — ekonomistą; tzn. jest oslepiony wspaniałością wielkiej burżuazji i współczuciem dla cierpień ludzi. W głębi duszy jest dumny z tego, że jest bezstronny, że znalazł właściwą równowagę, różną — jak sobie wmawia — od juste milieu. Drobnomieszczaństwo taki ubóstwia sprzeczność, gdyż stanowi ona podstawę jego bytu...”

Proudhon — syn chłopca, przybyły ze wsi do stolicy — staje się ideologiem drobnomieszczaństwa, który zepchnięty już w szeregi proletariatu marzy jeszcze o prywatnej własności. Drobniej, niewielkiej bodajże — ale własnej. Ze ta własność nie przyniesie mu ani nie oznacza dlań wyzwolenia społecznego, wręcz przeciwnie, jest tylko źródłem jego uciemiężenia klasowego — tego nie widzi, nie rozumie. Czy może więc z pełną świadomością spojrzeć na materialne podstawy swej egzystencji? Z trudnością, poprzez walki i kłębki, powoli dopiero dochodzi do zrozumienia, że musi się wyżyć swych marzeń i złudzeń, by zdobyć wolność społeczną.

Nie dziw, że Marks krytykuje Proudhona z taką bezwzględnością i ostrością. Trzeba było obnażyć korzenie i całą fikcyjność proudhonowskich koncepcji, by ocalić realną walkę o wyzwolenie klas uciemiężonych.

Polemika ma dla nas charakter jakby dialogu, w którym udział biorą nie tylko dwaj ludzie, ale dwa odmienne światopoglądy, dwie klasy — połowiczny drobnomieszczański i rewolucyjny proletariatus.

I rzecz ciekawa. Obaj przeciwnicy wychodzą formalnie z tej samej szkoły filozoficznej. Są uczniami heglowskiej dialektyki. Czerpią z tego samego źródła kultury burżuazyjnej. Ale jakże inny robią z niej użytek. Proudhon, któremu niemieccy emi-

granci przynieśli do Paryża filozofię Hegla, bierze ją taką, jaka jest: bez głębszej analizy, bez krytyki, bez własnej inwencji twórczej. Marks, który w młodości przeszedł szkołę heglowską, z bawelnym idealizmem wysuępuje tylko pozytywny rewolucyjny sens dialektyki. W konsekwencji — Proudhon, jak słusznie stwierdza Roger Garaudy, obraca się nadal w tych samych trudnościach, których nie zdołała przezwyciężyć myśl mieszczańska osiemnastego wieku. Marks — toruje drogę nowemu poznaniu historii społecznej.

Posłuchajmy wypowiedzi drobnomieszczaństwa Proudhona. Dialektyka nadal jest dlań tylko dowolną spekulacją umysłową, samorzutnym ruchem wiecznego rozumu, a historia — to tylko dialektyka idei i abstrakcji! Wyposażony w „abstrakcyjną dialektykę” przystępuje do badania społeczeństwa i historii. I co mówi? Ze stosunki społeczne są tylko urzeczywistnieniem niezmiennych zasad, „bezosobowego rozumu ludzkości”. Ze następstwo epok historycznych ma charakter wyłącznie logiczny a nie historyczny. („Nie kreśliły tu historii według porządku czasu, ale według następstwa idei”). Na czym zaś polega sprzeczność wcielona w społeczeństwo przez „rozum ludzkości”? Na tym tylko, że rzeczy i fakty społeczne mają swoją „dobrą” i „złą” stronę. Postęp społeczny to tylko usuwanie „zła” i pogłębienie „dobra”. Czy jest to nowe spojrzenie na historię? Poglądy takie już za czasów Proudhona nie były pierwszą młodości a w stosunku do dialektyki heglowskiej oznaczały nie rozwój, ale spływanie, sprowadzenie jej — jak mówi Marks — „do możliwie mizernych rozmiarów”.

Tymczasem Marks „materializując” dialektykę szkicuje zwięzły, ale jakże przekonywujący zarys historii społecznej (który później z jeszcze większą precyzją powtórzył w Manifestie Komunistycznym). Tu sprzeczności nie są tylko fikcjami umysłu i nie tkwią tylko w abstrakcjach. Tkwią w samej materialnej istocie społeczeństwa klasowego. Stanowią siłę napędową historii. Tu zostaje pokazana realna przeciwstawność interesów burżuazji i proletariatu, a nawet sprzeczności w łonie samej burżuazji. „Ta sprzeczność interesów wynika z warunków ekonomicznych ich życia burżuazyjnego. Z każdym dniem staje się przeto widoczniejsze, że stosunki produkcji, wśród których porusza się burżuazja, nie mają charakteru jednolitego, charakteru prostego, lecz odznaczają się dwójnym charakterem; że w tych samych stosunkach, w których powstaje bogactwo, powstaje i nędza; że w tych samych stosunkach, w których zachodzi rozwój sił wytwórczych, wytwarza się też i siła ucisku; że te stosunki rodzą bogactwo burżuazyjne, tzn. bogactwo klasy burżuazji, jedynie niszcząc nieustannie bogactwo

składających się na tę klasę jej poszczególnych członków i tworząc ciągle rosnący proletariatus”. („Nędza filozofii”, str. 163 — 164). Pod koniec zaś książki Marks postawi jasno pytanie: „Czyż można się dziwić, że społeczeństwo oparte na przeciwieństwie klas dochodzi do brutalnej sprzeczności, do starcia wręcz jako ostatecznego rozwiązania”. (str. 219). Nic dziwnego, że doszło, musiało dojść do polemiki między dwoma tak odmiennymi światopoglądami. Czyż nie jest jednak zastanawiające, że do tak różnych wniosków doszli ludzie, którzy nawiązywali do tej samej tradycji filozoficznej? Czerpali z tej samej kultury — ale różnie ją interpretowali. Proudhon, oszołomiony wspaniałością kultury burżuazyjnej, zapomniał, że nie jest ona czymś statycznym, doskonałym i wycyzelowanym. I, co istotniejsze, ustawiając społeczeństwo na idei — nie zrozumiał, że idea jako odbicie stosunków panujących w społeczeństwie, a więc jak dotąd w społeczeństwie opartym na sprzecznościach klasowych — nie może być sama pozbawiona wewnętrznych sprzeczności.

Marks widział wielkość tam, gdzie była — ale dostrzegał też sprzeczności. Nie oszołomiła go wielkość tradycji intelektualnej, sprzeczności zaś nie doprowadziły do bezsilnego sceptycyzmu. Stojąc



Proudhon.

wyrażnie na pozycjach klasowych proletariatu, mógł z pełnym krytycyzmem analizować dialektyczny proces kształcenia się społeczeństwa. I wyciągnął wnioski, które umożliwiły zniesienie podstawowych (klasowych) sprzeczności kapitalizmu — nie przez pogodzenie, lecz przez przewyżnienie ich. Dokonał przewrotu nauko-

wego, torując drogę przewrotowi społecznemu.

A więc — dwa sposoby przejmowania tradycji intelektualnej. Pierwszy niewątpliwie konserwatywny; drugi — rewolucyjny. Jeden osadza się na dotychczasowych osiągnięciach, nie umiając wyjść poza nie; drugi, poprzez krytykę, postępuje bezustannie naprzód. Pierwszy tkwi w świecie istniejącym — drugi tworzy nowy świat.

Kto zastanawiał się nad twórczością Marksa, dostrzegł niewątpliwie, jak wielką rolę przypisywał Marks krytyce naukowej i polemice. Już pierwsze jego publikacje, jak „Krytyka heglowskiej filozofii prawa”, „Święta rodzina”, „Niemiecka ideologia”, z późniejszych zaś chociażby „Przyczynek do krytyki ekonomii politycznej”, jak zresztą sam „Kapitał” — były to rozprawy krytyczne z różnymi szkołami filozoficznymi i ekonomicznymi. Ale nie tylko. To były zarazem kolejne stadia intelektualnego dojrzewania Marksa i socjalizmu naukowego, który wykuwał się nie tylko w walkach rewolucyjnych, ale też w zaciętych, ostrych, bezwzględnych sporach i walkach teoretycznych. Tym ostrzejszy, że teoria tak bezpośrednio była tu związana z praktycznymi zadaniami społeczno-politycznymi. I czyż może być inaczej? Czyż postęp nauki może się odbywać bez solidnej rzeczowej, głębokiej krytyki? Czyż można postawić dom, nie sprawdzając wpród gruntu, na którym ma on stać?

Krytyka marksowska nie prowadziła jednak i nigdy nie prowadzi ani do agnostycyzmu ani do dogmatyzmu. Wychodząc z założeń materialistycznych i historyczno-dialektycznych unika obydwu skrajności. I co więcej — nie posiada nigdy charakteru wyłącznie formalnego. Nie atakuje z pozycji oderwanej abstrakcji, ale z określonego i jasnego stanowiska społecznego, przy czym ma zawsze określony cel społeczny na oku.

Czy Marks polemizuje z Proudhonem tylko z tego względu, że jego poglądy były formalnie błędne? Czy tylko dlatego, że proudhonowska „Filozofia nędzy” była „nędzą filozofii”? Wychodząc z takiego formalnego jedynie punktu widzenia Marks mógł być obrać za przedmiot krytyki jakiegokolwiek innego pisarza. Dlaczego więc właśnie Proudhonowi poświęca aż całą książkę?

Proudhon cieszył się wówczas niemałą popularnością w sferach socjalistycznych. Ale opierając swój socjalizm na drobnomieszczańskich, w gruncie rzeczy reakcyjnych utopiach, utrudniał kształtowanie się socjalizmu naukowego, osłabiał rozmach walki wyzwoleniczej proletariatu, hamował rozwój jego świadomości klasowej. Atak na Proudhona był więc obroną samodzielności społecznej i politycznej klasy robotniczej. Równocześnie zaś oznaczał obronę i rozwój nauki i teorii. Sprawy te zawsze łączą się z sobą nierozdzielnie. Trzeba było zdemaskować reakcyjny utopizm drobnomieszczaństwa, by ocalić realną, twórczą, naukową krytykę kapitalizmu i teorię walki o socjalizm.

Ale krytyka drobnomieszczańskich urojeń nie była równoznaczna z wyrzuceniem tej klasy za burtę rewolucji. Marks w zakończeniu listu do Annenkowa zwraca trafnie uwagę, że „drobnomieszczaństwo” będzie częścią składową wszystkich nadchodzących rewolucji społecznych. Nie o wyrugowanie go zatem chodziło, ale o stwierdzenie, że może się ono stać pozytywnym czynnikiem rewolucji społecznej tylko w ścisłym przymierzu z klasą robotniczą — i pod jej kierownictwem. I, co jest nie mniej ważne, że dla dobra rewolucji i socjalizmu należy z całą bezwzględnością rozbić drobnomieszczańskie złudzenia, które wzmagają wahania tej warstwy i niejednokrotnie wywierają ujemny wpływ na klasę robotniczą.

W czasie Wiosny Ludów proletariatus przegrał. „Nie rewolucja jednak ginęła w tych porażkach — pisał Marks w „Walkach klasowych we Francji” — ginęły w nich przeżytki tradycji przedrewolucyjnych”. Ale już przed tymi porażkami, już w „Nędzy filozofii” sformułowana została nowa teoria — nie utopijna, jak dotychczasowe, lecz naukowa, nie kunktatorska, lecz rewolucyjna, teoria, która znamionowała nową epokę w historii ruchu robotniczego, zapowiadała jego przyszłe zwycięstwo.

MAO · TSE · TUNG

Ś N I E G

Cały krajobraz na północy

Jest zamknięty w tysiącu lodowatych płatków.

I w dziesięciu tysiącach płatków wirującego śniegu.

Po jednej i drugiej stronie Wielkiego Muru,

Szeroko panuje niepokój.

Z urwistych brzegów Żółtej Rzeki w górę i w dół

Nie widzieli już przepływającej wody.

Góry są tańczącymi wężami ze srebra.

Wzgórza na równinach jak błyszczące słońce.

Pragnę porównać naszą wysokość z niebiosami.

W jasnej pogodzie

Ziemia jest tak uroczą

Jak dziewczyna o czerwonych policzkach ubrana białą

Tak wielki jest urok tych rzek i gór

Wzywający niezliczonych bohaterów do szlachetnego współzawodnictwa z nim

Cesarze Szi Huang i Wa Ti nie byli dość wtańcemieni,

Cesarze Tai Tsung i Tai Tsu byli pozbawieni wrażliwości,

Dżyngis Chan umiał napinać swój łuk jedynie przeciw orłom.

Wszystko to należy do przeszłości — jedynie dzisiaj ludzie tutaj są wrażliwi.

Przełożyła z transkrypcji francuskiej
Mieczysława Buczkówna

*) Karol Marks, Nędza filozofii, „Książka” 1948.

JAN KOTT

PAMFLET NA OKRES

„We wszystkim, co pisze, postanowiłem raczej oburzać świat niż go bawić. Mam pogardę i nienawiść dla zwierzęcia, które nazywają człowiekiem, chociaż z całego serca kocham Jana, Piotra, Tomasza...”
(Z listu Swifta do Pope'a w roku 1725)

1.

W roku 1719 wyszedł drukiem „Robinson Crusoe” Daniela Defoe. W siedem lat później Jonathan Swift wydał „Podróż Gulliwera”. Były to dwie najważniejsze książki angielskiego Oświecenia i jedne z największych literatury światowej. Obie były powieściami przygod, obie czerpały z bogatej tradycji opisów podróży, rzeczywistych, imaginacyjnych i filozoficznych, które od czasu wielkich odkryć zaczęły być ulubioną lekturą myślicieli i prostaczków, arystokratów i kupców, dworu i plebsu.

Z obu książek odczytać można społeczne dzieje Anglii pomiędzy „sławną rewolucją” z roku 1688 a rewolucją przemysłową z połowy wieku XVIII, Anglii — teoretyków prawa natury i wielkich faktoriów kupieckich, trudniących się handlem niewolnikami, Anglii arystokratycznych wolnościowców i pobożnych mieszczan; Anglii — parlamentarnej monarchii i tysięcy wolnych chłopów, wyrzuconych z ziemi i zamienionych w najemników, Anglii — Newtona, Locke'a, Pope'a i nowej arystokracji bogaczącej się z grabieży Irlandii, Szkocji i Indii, Anglii grubych, rumianych i pysznych lordów w ogromnych perukach z obrazów Reynoldsa i pijanej, obdartej gawiedzi ze sztychów Hogartha, Anglii purytańskich kupców, cynicznych polityków, rozpustnych dworzan i opasłych, tępych monarchów.



Losy obu tych wielkich książek były podobne, w sto lat po ich wydaniu skrócone, pocięte i okastrowane, oczyszczone ze wszystkiego co zawierały z gorczy i entuzjazmu, z pasji i nienawiści, z ogromnego skrępu historii, jaki w nich osiadł, zawędrowały do dziecinnego pokoju. Ale obie te książki nie były do siebie podobne, tak jak niepodobni byli do siebie ich autorzy. Jedną z nich napisał, aby zarobić na posag dla brzydkiej i ułomnej córki, handlarz sukniem i winami z londyńskiej City, dziennikarz, który za zuchwałe pamflety dostał się pod pregiarz, bankrut, który miesiącami ukrywał się przed wierzycielami, szpieg i płatny agent rządowy. Drugą z nich napisał dziekan katedry św. Patryka w Dublinie, jeden z najwytworniejszych umysłów wieku, bywalec pierwszych salonów królestwa, czołowy publicysta wigów, potem mąż zaufania torysów, przyjaciel Bolingbroke'a, Arbuthnota, Pope'a i Gay'a.

Defoe kazał Robinsonowi na bezludnej wyspie, zgodnie z przyrodzonymi prawami natury ludzkiej, założyć kapitalizm. Swift pokazał jak na tej samej bezludnej wyspie z pary rozbitków poczęło się plemie półludzi — półbydła, dzikich, okrutnych i pozbawionych rozumu Jahów. Defoe napisał apologię angielskiego purytanina, który w walce z przyrodą i przeciwnościami losu zakłada kapitalistyczną kolonię. Swift stworzył najokrutniejszą satyrę na umierający świat feudalny i rodzące się społeczeństwo mieszczańskie, wielki filozoficzny pamflet na okres pierwotnej akumulacji, pierwszą historyczną krytykę kapitalizmu i ideałów Oświecenia, która nie oszczędziła nawet samej natury ludzkiej.

Obraz Anglii był w obu książkach prawdziwy. Ale literatura przekazała nam jeszcze trzeci obraz współczesnej Anglii. Stworzył go przybysz z Francji, gdzie go lokaje jednego z jaśnie panów obili kijami, a kiedy zażądał sprawiedliwości, zamknięto go w Bastylii. Tym przybyszem z Francji był Wolter. Zobaczył w Anglii burżuazyjną utopię. Znalazł w niej jedyną na świecie miejscę tolerancji religijnej, gdzie chrześcijanin, mahometanin i żyd

spotykają się ze sobą w zgodzie, szanują wzajemnie i dotrzymują danego słowa. Tym szczęśliwym miejscem była londyńska giełda.

„Wnijdź — pisze Wolter w „Listach o Angielczykach”, które cytuję w przekładzie z roku 1793 — do kupieckiego w Londynie domu, do tego czci godniejszego nad wiele Dworów miejsca, gdzie się wyznaczają do wszystkich narodów dla pożytku powszechności zgromadzają. Tam Żyd, Mahometanin i Chrześcijanin obcuje jeden z drugim, jakgdyby jednej byli Religii, a nazwisko Bankruta tylko niewiernym daje. Tam Prezbiterianin powierza się Anabaptyście, a Angielczyk od Kwakra przyjmuje obietnicę. Z tego spokojnego i wolnego rozszedłszy się Zgromadzenia, jedni idą do Synagogi, drudzy do szynkowni. Tamten każe się chrzczyć w wannie w imię Ojca przez Syna Duchowi Świętemu, a ów syna swojego obrzezać daje, mrużąc nad dzieckiem hebrajskie słowa, których sam nie rozumie. Inni w opuszczonych kapeluszach idą do swoich kościołów oczekiwać natchnienia boskiego, a wszyscy są uspokojeni. Gdyby w Anglii jedna tylko była religia, samowładztwa obawiałyby się potrzeba, gdyby były dwie, wzajemnie by się pomordowały, ale że ich jest trzydzieści, wszystkie zgodnie i szczęśliwie żyją”.

Pisał to Wolter bardzo poważnie i bez cienia ironii. W roku 1728 Giełda reprezentowała naturalne prawa człowieka. Zacytował pogany, dobrych dzikusów i mądrych Chińczyków, którzy przez cały wiek pojawiają się w niezliczonych pamfletach, podróżach i powiastkach filozoficznych, aby sztychować z szaleństwa Europejczyków i w imię porządku naturalnego i rozumu wydrwiwać okrucieństwa feudalizmu, zastąpił Wolter pacyfistycznym Kwakrem angielskim.

„Bóg nasz — mówi ów zany Kwaker w pierwszym z „Listów Filozoficznych” — który nam nieprzyjaciół naszych kochać i cierpieć bez mrużenia rozkazał, nie chce tego zapewne, abyśmy się przez morze dla zabójstwa braci naszych przeprawiali, dlatego, że ubrani w czerwoną suknię mordery, z wysoką na dwie stopy czapką, zwabiają do siebie obywateli łoskotem dwóch małych kijów na osłej wyciągniętej skórze. A gdy po wygranych potyczkach cały oświeceniem blęszczy się Londyn, gdy Niebo sztucznymi pała ogniami, gdy powietrze brzmi dziękczynieniem dzwonów, organów i armat odgłosem, my w cichości nad tymi jęczymy mordami, które powszechną sprawiają radość”.

Ale Anglia była dla Woltera nie tylko krajem tolerancji religijnej i rozumnych Kwaków, którzy przemawiają niemal tak samo jak król wielkoludów w „Podróżach Gulliwera”. Anglia była przede wszystkim ojczyzną Newtona i Locke'a, rozkwitu nauk ścisłych i filozofii racjonalistycznej.

„Francuz — pisze — przybywając do Londynu, jako we wszystkich rzeczach, tak i w filozofii wielką znajduje odmienność. Zostawił świat pełny, tu go zastaje próżny. W Paryżu widzi świat złożony z poruszenia subtelnej Materii, w Londynie niczego tego nie widzi. U nas przyćmienie księżycy sprawia przybieg morski; u Angielczyków morze ku księżycowi ciąży... U waszych Kartezjanów wszystko dzieje się po przez popchnięcie (Impulsio), którego nie rozumieją wcale, u pana Newtona przez Pociąganie (Attractio), którego także lepiej nie znają przyczyny. W Paryżu Ziemię mniemacie ułożoną na kształt melona, w Londynie z dwóch stron jest przyplaszczona. Kartezjuszowi światło sprawia powietrze, Newtonczykowi w półsiódmiej minucie od słońca przychodzi. Nie zgadzacie się ani w opisie Duszy, ani w opisie Materii. Kartezjusz upewnia, że dusza też samo jest, co myśl. Pan Locke przeciwnie dość dobrze dowodzi”.

Na tym jeszcze nie koniec zachwyty Woltera. Obok tolerancji religijnej, rozkwitu nauk, rzemiosł i handlu, podziwia w Anglii wolność polityczną, ograniczenie despotyzmu króla i parlamentarną monarchię.

„Naród angielski jeden tylko jest na świecie, który władzę królów umiarkował i który ustanowił na koniec ten rząd roztropny, gdzie Monarcha wszystkomożny do dobrych czynienia, związane ma do źle czynienia ręce; gdzie Panowie są wielcy bez zuchwałości i holdowników i gdzie pospółstwo bez zamieszania rządem się dzieje. Izby Wyższa i Niższa są Sędziami Narodu, król jest arcysejdem; tej równowagi nie dostawało Rzymianom... Senat rzymski pospółstwo jako dzikie zwierzę uważał, które na sąsiadów trzeba było wypuszczać, aby na swoich nie rzuciło się panów...”

Rząd angielski ani tak wielkiego blasku ani tak okropnego spodziewa się końca. Zamiarem jego nie jest owo świetne szaleństwo podbijania innych; ale tylko zapobieżenie, aby mu się to od innych nie stało. Lud ten nie tylko swojej, ale nawet cudzej zazdrośny jest wolności. Angielczycy zawzięci byli przeciw Ludwikowi XIV, jedynie przeto, iż go pysznym sądzili, a bez żadnej innej pobudki, z wesołości serca wojnę z nim wiodli”.

I jeszcze system podatkowy, który, jak o to biła się burżuazja, rozkłada ciężary nie według stanu, ale według majątku. „Żaden człowiek, przeto iż jest szlachcicem lub księdzem, nie jest wyłączony od płacenia pewnych podatków, te zaś wszystkie Izba Niższa stanowi... Każdy daje nie podług swojej godności (gdyż to rzecz szlona), ale podług swojego dochodu... Chłop nie ma nóg od trepek pokaleczonych, je chleb piękny, odziany jest dobrze i nie obawia się, aby przez powiększenie trzody lub przykrycie dachówką domu, na przyszły rok powiększono mu podatek”.

Tak wyglądała Anglia w oczach ideologa francuskiej burżuazji. O tej samej Anglii, na rok przed przyjazdem Woltera, pisał Swift w „Podróżach Gulliwera”, co następuje: „W królestwie Tribnia, przez krajowców Langden zwanym (Tribnia i Langden — anagramy Britain i England), gdzie przez niejaki czas w podróży mojej bawiłem, lud składa się po większej części z denuncjantów, świadków, szpiegów, oskarżycieli i przysięgających, jakże też innych płatnych służalców rządu i urzędników. Spiski w tym królestwie są zwyczajnie dziełem ludzi chcących zjednać sobie sławę wielkich polityków, wzmocnić słaby rząd, przytłumić powszechne nieukontentowanie, z bogactw skonfiskowanymi dobrami, podwyższając lub zniżając kredyt publiczny stosownie do własnych korzyści. Ci układają pierwej między sobą, które osoby mają być oskarżone, potem rozkazują zabierając im papiery, listy i wtrącają do więzienia”.



Kiedy zaś Gulliver dobremu królowi olbrzymów w państwie Brobdingnag opowiedział o instytucjach politycznych i obyczajach angielskich, tak jak to uczynił Wolter w swoich „Listach Filozoficznych”, usłyszał taką odpowiedź: „Z tego wszystkiego coś mi opowiadał, sądzę, iż większą część współziomków twoich jest najszkodliwszym rodzajem robaków, jakiemu natura pozwoliła czołgać się na powierzchni ziemi”.

Te trzy współczesne obrazy Anglii: bezludna wyspa Robinsona, „Podróż Gulliwera” i „Listy o Angielczykach”, pokazują daleko jaśniej i ostrzej niż grube tomy zawodowych historyków gwałtowne sprzeczności, podstawały przeciwieństwa, wielkość i okrucieństwo pierwszego okresu kapitalizmu.

Burżuazja angielska przeżyła swoją heroiczną epokę za czasów Cromwella, kiedy jak pisze Morton w „Dziejach ludu angielskiego”: „pochodzącemu od Boga prawnu króla przeciwstawiła pochodzące od Boga prawo własności prywatnej”. Wodowie purytan przemawiali językiem proroków Starego Testamentu, armia Cromwella śpiewała psalmy przed bitwą, Bóg wybranego narodu towarzyszył mieszczańskiemu w historycznej wojnie o wolność kupna i sprzedawczy bez żadnych ograniczeń. Ale mieszaństwo było zbyt słabe, aby utrzymać władzę i zagrożone od wnętrza przez plebs i rzemieślników, przez rewolucyjny ruch „niwelatorów”, którzy dążyli do utopijnych form średniowiecznego komunizmu chłopskiego.

Kompromis z roku 1688 oddał rządy w ręce handlowo nastawionej arystokracji, wielkich kupców i bankierów. „Wspaniała rewolucja — pisze Marks — przywiodła do władzy wraz z Wilhelmem Orańskim, obszarńnikami i kapitalistycznymi przywódcami dodatkowej wartości. Rozpoczęli oni nową erę, praktykując na olbrzymią skalę kradzież majątków państwowych, która dotychczas była uprawiana znacznie skromniej. Majątki te odeszły od państwa, bądź sprzedane po śmiesznej cenie, bądź nawet przyłączone do prywatnych posiadłości drogą zwykłego zagarnięcia. Wszystko to dokonało się bez zachowania najlżejszego pozorów legalności... kapitaliści burżuazyjni sprzyjali tej operacji, mając na widoku między innymi popieranie wolnego handlu ziemią, rozszerzenie systemu nowoczesnego rolnictwa na domenie wielkiej własności oraz zwiększenia podaży proletariatu rolnego gdy tylko zajdzie potrzeba. Ponadto nowa arystokracja ziemską była naturalną sojuszniczką nowej bankokracji, nowowzlejętej haute finance oraz wielkich przemysłowców, zależnych od ceł ochronnych”.

Wkrótce po pokoju w Utrechcie, który przyniósł Anglii nowe posiadłości w Ameryce Północnej i monopol na dostarczanie niewolników do kolonii hiszpańskich, objęli władzę wigowie i utrzymali ją przez lat blisko pięćdziesiąt. Ich przywódcą był sir Robert Walpole, który rządził przy pomocy jawnego i bezwstydnego przekupstwa i chwalił się publicznie, że zna cenę każdego sumienia. „Jednego razu — opowiada o nim współczesny kronikarz — w dniu głosowania, którego wynik nie był pewny, Walpole spostrzegł na podwórzu członka przeciwnej partii. Wziął go na stronę i powiedział: „Daj mi Waszmość swój głos. Oto czek na dwa tysiące funtów szterlingów”. Poseł tak mu odpowiedział: „Sir Robercie, Wasza Miłość oddała niedawno wielką usługę jednemu z moich bliźnich przyjaciół, a ostatni raz, kiedy żona moja była na dworze, król przyjął ją bardzo łaskawie, stało się to zapewne nie bez wprawy Waszej Miłości. Uważałbym się więc za wielkiego niewdzięcznika (i tutaj banknot schował do kieszeni) gdybym odmówił uczynienia takiej drobnostki”.

JERZY WALEŃCZYK

OPOWIEŚĆ

O CZERWONYCH PELARGONIACH

Czerwone pelargonie, stojące na scenie, która jest okno tkacza wstawione w śródmieście, kopyta widzieli, twarze, pięści, stoczone na kamienie, i od stołu godziną późną stłumione słowa tak wielkie, że w jednym wieku ich nie zmieszczę. Dosyć im było nieba, nieba łódzkiej ulicy, ale zbyt wielki cień twarze przechodniów rzucały na pelargonie tkacza, pelargonie małe. Kiedy pochody ciągnęły, pozdrawiały je czerwienią. Powietrze wtedy płucem było, o jak małe! Czerwone pelargonie nigdy nie plakały. Kwiaty nie płaczą nigdy, kwiaty się rumienia. Czerwone pelargonie ogród dały dzieciom. Co w kółka palcem obrysowane na szyble chwytały codziennie przechodniów. Mijały potem lata. Harmonia grała w bramie, karawan nieraz wychodził z podwórza — Czerwone pelargonie, pelargonie nieduże nie mogły służyć dzieciom. Kot cień pod wieczór zwił, czas z nocnej zmiany rano okno mijał.

PIERWOTNEJ AKUMULACJI*)



Swift przedstawił Walpole'a pod postacią Flimnapa, Wielkiego Podskarbięgo w państwie Lilliputów, który tańcząc na sznurze w obecności królewskiej, potrafił wyskoczyć przynajmniej na cal wyżej niż którykolwiek z panów w całym cesarstwie. O nim też zapewne myślał Swift, kiedy w kraju roztrząsanych koni kazał Gulliwierowi tak przemówić: „Pierwszy minister jest to istota bez radości i smutku, bez miłości i nienawiści, bez litości i gniewu, nie mająca żadnych innych namiętności poza pragnieniem bogactw, władzy i tytułów... Są trzy metody, przez które Jahu może stać się ministrem, pierwsza, iż umie rozrządzać z roztrąpanością żoną, córką lub siostrą swoją, druga — zdradzić i zniszczyć swego poprzednika, trzecia — powstać we wszystkich publicznych zgromadzeniach na zepsucie dworu...”

Powszechnej korupcji towarzyszyły łapownictwo i zdrada. Monteskiusz, który okazał się nierównie bystrzejszym obserwatorem od Woltera, pisze w roku 1729: „Są postowie szkocey, którzy mają tylko 200 funtów szterlingów i sprzedają się po tej cenie. Anglicy nie są już godni swojej wolności. Sprzedają ją królom, a gdyby król, im ją zwrócił, sprzedaliby mu po raz drugi”.

Partie wigów i torysów, które przed tym reprezentowały i prowadziły do walki dwie klasy o sprzecznych interesach, zamieniały się powoli we frakcje tej samej warstwy stojące do podziału łupu. A łupy były ogromne. Nigdy jeszcze tak szybko nie bogaciła się Anglia. Coraz częściej widać było w Londynie jeżdżących w ogromnych karetach Nababów, nowych kolonialnych magnatów, którzy dorobili się milionów fortun na rabunku Indii. Do kolonii handlarze niewolników przewozili rok rocznie po 20.000 Murzynów z Afryki. Powstanie Banku Anglii, który uzyskał prawo emisji banknotów i stał się wielką skarbnicą kruszców i ośrodkiem kredytu handlowego, umożliwiło koncentrację wielkich kapitałów w rękach drobnej grupy finansistów, udzielających państwu kredytów na prowadzenie wojen.

Anglia przeżyła pierwsze wielkie giełdowe krachy, jak choćby owa słynna afera „Bank Mórz Południowych”, która zrujnowała w ciągu paru dni tysiące drobnych spekulantów. Bogactwo graniczyło z nędzą, bandytyzm z rozpustą. Nigdy przed tym Anglia tyle nie piła. Spożycie ginu szacowano na 7 milionów gallonów rocznie. W rok po ukazaniu się „Podróży Gulliwiera”, Gay w swojej słynnej „Operze Żebraka”, największym sukcesie londyń-

skiego teatru, sztydzi, „iż nie podobna wieścić czy gentlemani z lasu i gościńca nasładować modnych kawalerów, czy też modni kawalerowie nasładować gentlemanów z lasu i gościńca”. A cytowany już Monteskiusz napisze: „Pieniądz jest tutaj szanowany nad wszystko, cnota i honor niewiele. Anglik musi mieć dobry obiad, dziewczkę i wygodę. Ponieważ niewiele więcej go obchodzi, z chwilą kiedy jego fortuna się kończy, zabija się lub staje złodziejem”. Ale ten sam Monteskiusz zdumiewał się, że dekarz na dachu czyta gazetę.

Nowy mieszczański ład stwarzał nową ideologię. Na miejsce Habakuka prorokiem burżuazji stał się Locke, który zarówno z Bogiem jak i z monarchą poszedł na typowy dla angielskiego Oświecenia filozoficzny kompromis. Wszemoc boską ograniczył prawami przyrody, która posłuszna jest własnym i niezmiennym ustawom. Wszemoc monarchy ograniczył umową społeczną zawieraną z mocy prawa natury przed wolnych ludzi dla ochrony porządku i własności. „Whatever is, is right” pisał Pope, udawadniając jak mistrz Pangloss z wolterowskiego „Kandyda”, że wszystko jest konieczne na tym najlepszym z możliwych światów.

Dworscy kawalerowie zadowoleni byli ze swobody obyczajów, którą nowa dynastia odziedziczyła po czasach Restauracji. Pisarze podziwiali nową elegancję angielskiego stylu i wszczynając spór starożytników ze współczesnymi, przyznawali sobie palmę pierwszeństwa. Rozwijają się wspaniałe Królewska Akademia Nauk („Royal Society”), założona jeszcze w roku 1662. Sława Newtona zaćmiła Kartezjusza. Anglia stała się wielkim rozsądnikiem idei na całą Europę. Ale gdzie indziej przybierały one na gwałtowność i siłę. Tutaj był już wiek kompromisu. Coraz silniej występowało ograniczenie myśli mieszczańskiej.

Namiętny purytanin stawał się powoli filistrem. Entuzjazm zastępowała moralność kupiecka. Mieszczanin rachował się tak samo z królem, jak z Panem Bogiem, a „imię niewiernych dawano tylko bankrotom”. Ale właśnie dzięki temu rozdzielił się powoli nowy rodzaj literacki: realistyczna powieść obyczajowa. Mieszczanin angielski pragnął zobaczyć obraz, obronę i uzasadnienie własnego życia i własnej moralności w literaturze. Realistyczna powieść odziedziczyła ogromne bogactwo doświadczeń, spostrzeżeń, idei i nowych technik literackich, jakie zawierały wszystkie gatunki piśmiennictwa, którym poetyka klasyczna i dobry smak arystokratów bronił dostępu do wielkiej literatury.

Mieszczkańscy pisarze usiłowali pogodzić trzeźwość i realistyczny obraz działalności ludzkiej i społecznego bytu z idylliczną wiarą w dobroć i przyrodzoną szlachetność ludzkiej natury. Budzili optymistyczne zaufanie do praw rozwoju kapitalistycznego, w których widzieli odbicie praw natury. Tę drogę wybił w angielskiej literaturze wielki Daniel Defoe. Ale ten sam historyczny okres panującego jeszcze oficjalnie klasycyzmu i pierwszych powieści obyczajowych wydał Jonathana Swifta, który samotny i jedyny w tym wieku powszechnego optymizmu wykpił i wyszydził wszy-

stkie ideały Oświecenia: wiarę w postęp burżuazyjny i naukę, zaufanie do naturalnego porządku, przeświadczenie, że ludzka natura jest rozumna i dobra, że człowiek żyjący w stanie natury jest szczęśliwy i wolny. Swift w człowieku cywilizacji zobaczył bliźnią i zbrodniarza, w człowieku natury — zwierzę nikczemniejsze od wszystkich stworzeń pełzających po ziemi.

Z jakich doświadczeń społecznych powstać mogły „Podróże Gulliwiera”? Swift, jak wszyscy wielcy pisarze epoki, przeszedł szkołę polityki. Był czas, że był jednym z najbardziej wpływowych publicystów stronnictwa wigów podejmowanym, cenionym i głośnym przez wielkich tego świata. Był potem bliskim przyjacielem i zaufanym torysowskich ministrów. Bano się go, podziwiano i nienawidzono. Potrafił ranić śmiertelnie dowcipem. Jego pamflet na księcia Malborough „Postępowanie aliantów” przyczynił się w ogromnej mierze do upadku partii wojennej i zawarcia pokoju z Francją. Poznał czym są intrzygi dworu, chciwość, egoizm i niewdzięczność możnych, przekupstwo urzędników, nikczemność faworytów, głupota sędziów, cynizm ministrów, obłuda duchownych. Ale te małe realia wielkiej polityki znali wszyscy pisarze tego okresu i nie przeszkadzało to im wcale powtarzać: „Wszystko co jest, jest dobrze”.

Jeden tylko Swift kazał Gulliwierowi w państwie rozumnych koni radować się, że nie jest wśród ludzi: „Nie było w tym kraju ani doktorów, którzy by mnie struli ani prawników, którzy by mnie zniszczyli ani szpiegów, którzy by czatowali na moje słowo lub wymyślali na mnie skargi za pieniądze. Nie byłem tam otoczony przez szyderców, obmówców, potwarców, włamywaczy, oszustów, graczy, adwokatów, wielomówców, polityków, samochodów, mędrców, rajfurów, gwałcicieli, zuchwałców, złośników. Nie było tam więzień, toporów, szubienic, słupka i grejczka, nie ma tam kupców i rzemieślników oszukujących, nie ma hultał, łotrów, złodziei, filutów, nie ma galantów, niewieściuchów, zalotników, nie ma głupców, grubianów i zuchwałców, nie ma gnuśnych próżniaków, fireyków i fanaronów, nudnych święgotów, obmierźłych pijaków, nie ma dziełek i kiły, kłóliwych, niewiernych i kosztownych żon, głupich i dumnych pedantów, ani natrętnych, zarozumiałych i krzykliwych towarzyszy. Nie było łotrów, którzy wyszli z rynsztoka przez swoje występki, ani szlachetnych ginących przez swoje cnoty. Nie było lordów, skrzypków, sędziów i tancmistrzów”.

Ale Swift zobaczył jeszcze więcej; zobaczył nie tylko małe, ale i wielkie realia epoki pierwotnej akumulacji. Swift zobaczył Irlandię.

„Jeśli jestem wolnym człowiekiem w Anglii — pisał — czemuż się staję niewolnikiem po sześciu godzinach, które są potrzebne, aby przepłynąć Kanał”. Był to Kanał Ulsterski, dzielący Irlandię od Anglii.

Irlandia była pierwszą wielką kolonią angielską. Od XVI wieku nastąpiło systematyczne niszczenie pozostałości rodowego ustroju. Pięćdziesięcioletnia wojna, której towarzyszyły głód, masakry i konfiskaty ziemi, zamieniła ogromne obszary w pustynię. Reformacja stała się czczym usprawiedliwieniem wojny i eksploatacji. „Zarówno dla purytanów, jak dla rojalistów — pisał Morton — katolicy irlandzcy byli dzikusami, których należało gnieć i niszczyć bez litości”. Ludność, którą obliczano w roku 1641 na półtora miliona, w jedenaście lat później nie przekraczała 850.000, w czym 150.000 nowych osadników angielskich i szkockich. Po stłumieniu powstania nastąpiła cromwellowska kolonizacja, czyli po prostu powszechna konfiskata ziemi, którą przydzielano wojsku lub sprzedawano po cenie nominalnej kupcom i spekulantom z City. Chłopów irlandzkich werbowano do pracy w koloniach.

Po militarnym zniszczeniu i legalnym rabunku nastąpił trwający nieprzerwanie system kapitalistycznej eksploatacji. Początkowo była Irlandia źródłem taniej żywności i surowców. Potem, w obawie przed konkurencją dla angielskiego rolnictwa, zakazano wywozu bydła, mięsa i tłuszczów. Potem wyszedł zakaz eksportu materiałów wełnianych, który zniszczył całkowicie manufakturę Irlandii. Zezwolono jedynie na tkalnię lnu i wywóz surowej wełny do Anglii. Irlandia pozostała jedynie rezerwuarem taniej siły roboczej i tego tylko od niej Anglia żądała.



Swift został dziekanem kościoła Św. Patryka w Dublinie. Nie była to wielka kariera, był to raczej koniec kariery. Swift był zbyt niezależny, zbyt obosieczna była jego satyra w „Opowieści o beczce” na katolików i protestantów, aby mógł zostać biskupem angielskiego kościoła. Za młodych lat, kiedy dzięki staraniom swojego opiekuna Wilhelma Temple, pisarza, męża stanu i uczonego dyletanta, Swift został przedstawiony Wilhelmowi III, król ofiarował mu dyplom kapitana dragonów i dał lekcję krajania szparagów holenderskim sposobem. Potem torysi nie śpieszyli się, aby wynagrodzić usługi sławnego już wtedy pisarza. Dali mu beneficium w Irlandii. Został w niej Swift do końca życia.

Człowiek, przed którego szyderstwem drżeli ministrowie, przed którym wszystkie drzwi stały otworem, który głosił, że jest zaszczytem dla wielkiego pana, kiedy rozmawia z pisarzem, znalazł się w kraju, gdzie „na ulicach, na drogach, przed lepiankami gromadzą się tłumy żebraków, z trojgiem, czworgiem, sześciorgiem dzieci w łachmanach, błagających każdego przechodnia o jałmużnę. Matki muszą cały dzień błąkać się, aby wyzbierać żywność dla nieszczęśliwych dzieciaków, które kiedy dorosną staną się złodziejami z braku pracy, albo opuszcza swoją kochaną ojczyznę, aby bić się w Hiszpanii za Pretendenta lub sprzedać się na wyspy Barbados”. („Skromna propozycja”).

Swift zobaczył Irlandię. „Z każdym rokiem — pisze — albo raczej z każdym miesiącem co raz więcej wzbiera we mnie nienawiść i pragnienie zemsty, a moja wściekłość jest tak podła, że zwraca się przeciwko głupocie i bierności tego ludu niewolników, pośród którego żyję”.

Przyjaciel torysów, sławny pisarz, wysoki duchowny angielskiego kościoła stał się trybunem Irlandii. Całą swoją pasję, namiętność, talent, całą wiedzę i doświadczenie oddał walce Irlandii z kapitalistyczną eksploatacją. W roku 1720 pisze Swift jeden ze swoich najwspanialszych pamfletów, wzywając do bojkotu angielskich towarów w odpowiedzi na zamknięcie irlandzkich manufaktur. Walpole wyznacza trzysta funtów nagrody za wykrycie autora pamfletu. Ale nie znalazł się nikt, kto by wydał Swifta.

W cztery lata potem, kiedy rząd angielski, za staraniem królewskiej kochanki, przyznał niejakiemu Woodowi przywilej bicia miedzianej monety dla Irlandii, Swift ogłasza swoje słynne „Listy sukienika”, wzywające do oporu, pisane najprostszym językiem, zwracające się wprost do ludu: „Sir Isaak Newton zdał sprawę, z próby, jakiej dokonał w Mennicy nad metalem Wooda. Wynika z niej, że Wood we wszystkim dopełnił umowy. Umowy? Jakiej umowy? Czy z parlamentem albo z ludem Irlandii? Czyż to nie są nabywcy jego towaru? Ale lud ten się go wyrzeka, lud ten pogardza nim za nadużycia i fałsz, lud odrzuca jego błoto i jego lekarstwo”.

Takie doświadczenia społeczne zrodziły „Podróże Gulliwiera”. Dopatrywano się w nienawiści Swifta do ludzkiej natury pierwszych śladów późniejszego obłędu. W niedługi czas po śmierci oskarżono go o wszystkie nieprawości ludzkie. Zaci ni mieszczanie nie mogli mu darować obrazu J a h u s a. Swift odbierał mieszczańowi najszacowniejszą ze wszystkich iluzji: wiarę w zgodność z rozumem praw kapitalistycznego społeczeństwa. Tego mu nie mogli przebaczyć.

Swift napisał pamflet na naturę ludzką. Ale był to pamflet na epokę pierwotnej akumulacji. W tym historyczna wielkość „Podróży Gulliwiera”.

Jan Kott

*) Z przedmowy do pierwszego pełnego wydania „Podróży Gulliwiera”, które ukaza się nakładem Sp. Wyd. „Książka i Wiedza”.

PRZECHODNIE

Ponieważ nasz czas jest krótki,
Ponieważ raz tylko się zieleni,
rzadko zachodzimy do zegarmistrza,
gdzie zegary ofiarują naszemu pulsowi
swoje własne bicie.

My przechodnie spóźnieni
o jedno uderzenie,
wczesniejsi o jedno wahadła wzniesienie.
Wahadło się wznosi by powrócić.
Zegarmistrz znana piosnkę nuci.
Wahadło się poza skrzyneczkę wymyka
i wędruje między narodzinami a śmiercią.
Wahadło się z przyszłości wylania
i tyka.

Dwa uderzenia brzmią jednakowo,
jak w jednym kształcie
jedno słowo,
i każdy mieszka w dwóch uderzeniach.
Ponieważ nasz czas jest krótki
Ponieważ raz tylko się zieleni
wstąpmy do zegarmistrza,
my przechodnie
spóźnieni.

PETRAS CVIRKA

Przełożyła A. L. GNIADOWSKA

S Ł O W I K

NIEDUZA grupa niemieckich żołnierzy zaraz po południu weszła do wsi. Właściwie nie była to wieś, tylko miejsce, gdzie niegdyś stała. Z obu stron ulicy ciągnęły się kikuty zwęglonych domów. Drzewa w sadach z ledwie zawiązanymi owocami stały gołe, opalone płomieniami i zwiedle od gorąca.

Porucznik siedzący na wózku polowej kuchni spoglądał na mapę rozłożoną na kolanach, porównywał z nią okolicę pełną ponurych śladów wojny, jak gdyby czegoś szukając. Naokoło nie było widać żywej duszy. Tylko nad opuszczonymi ogrodami pełnymi żółtych stonczekników i kwitnących maków unosiła się chmara motyli.

Na okurzonych twarzach żołnierzy malowało się zmęczenie, z trudem powiódzili nogami.

Na końcu wsi, gdzie droga skręca w stronę pobliskiego lasu i rozwidła się na trzy polne, niedawno wyjeżdżone drożki, oficer zatrzymał oddział. Żołnierze z niepokojem patrzyli na swego dowódcę, który zeskoczył z wózka i przez lornetkę przyglądał się okolicy.

W czasie tej krótkiej chwili odpoczynku, kiedy żołnierze ocierali zroszone potem czoła i poprawiali plecaki, rozległ się śpiew ptaka. Śpiew drzał, przelikał powietrze swoją czarującą melodią i rozniósł się daleko w ciszy znojnego, letniego dnia. Na chwilę śpiew ustał, ale zaraz rozległ się bliżej, jeszcze głośniejszy. Nie tylko żołnierze, ale i sam porucznik zaczęli słuchać i rozglądać się. W przydrożnym rowie, wśród krzaków, pod białymi brzożami zobaczyli małego chłopca ubranego w zielonkawę ubranie z gołą głową. Chłopiec siedział na brzegu rowu ze spuszczonej nogami, prawie niewidzialny na tle zieleni i coś strugał nożykiem.

— Ej, ty! — zawołał porucznik, gestem przywołując chłopca.

Małec przestał strugać, przodem wsunął nożyk do kieszeni, otrzepał ubranie i podszedł do oficera.

— Pokaż — powiedział porucznik po litewsku.

Chłopiec wyciągnął z buzi coś małego, zaślinionego i położył na dloni, wesoło patrząc na oficera. Był to mały, brzożowy gwizdek.

— Sprytnie, bardzo sprytnie! — pokłaskał głową porucznik. Jego nieprzyjemna, surowa twarz rozjaśnił uśmiech, któremu zawtórowali żołnierze.

— Kto cię nauczył? — znowu spytał porucznik, ale już bez uśmiechu.

— Ja sam, panie... Umiem jeszcze jak kukułka...

Tu chłopiec zakukał, potem znowu włożył do buzi gwizdek i zagwizdał.

— Ty tu jesteś sam? — pytywał dalej oficer, podnosząc do oczu lornetkę i spoglądając w stronę lasu.

— Nie, nas tu jest dużo: najwięcej jest wróbli, wron i kuropatw, ale słowik to tylko ja jeden.

— Głupcze! — przerwał porucznik — ja się pytam, czy nie ma tu więcej ludzi?

— Nie ma — odpowiedział małec.

— Kiedy zaczęła się strzelanina i zapaliła się wieś, wszyscy wzięli i uciekli krzyżując: „zwierzęta, dzikie zwierzęta idź!”

— A dlaczego ty nie uciekłeś?

— Chciałem zobaczyć, jak wyglądają dzikie zwierzęta. Raz byłem w miasteczku i za pół lita widziałem kota, takiego dużego jak ciele.

— Niedorozwinięty — zwrócił się porucznik do żołnierzy w języku nieznanym chłopcu — a powiedz mały, czy znasz drogę przez las do Surmont? Zdaje się, że tak nazywają...

— Jakże mam nie znać, panoczku — pewnie odpowiedział chłopiec. — Ja z wujem Mateuszem zawsze chodziłem na ryby. Tam są takie szczupaki, że dwumiesięczne kacuszki połykają... Jak w zeszłym roku rzeka przerwała groble...

— No, dobrze, prowadź! Jeżeli dobrze zaprowadzisz, dostaniesz to — porucznik pokazał dziecku zapalniczkę — a zmyślisz drogę, ukręcę ci łeb, razem z twoją gwizdawką. Zrozumiałeś?

Oddział ruszył. Na jego czele, tuż za wózkem kuchennym przy poruczniku, nie przestając ani na chwilę śpiewać jak słowik i kukać jak kukułka, maszerował chłopiec. Machając rękoma, dotykając nimi przydrożnych drzew i krzaków, zrywając gałązki i potem kopiąc je, chłopiec wdawał się zupełnie zajęty sobą.

Las robił się coraz gęstszy, droga wiała się wśród młodych brzoż, zazielenionych polan i podnosiła się na mroczne, pokryte starymi sosnami pagórki.

— A co ludzie mówią o partyzantach? Czy są tu w lasach? — zainteresował się porucznik.

— Nie, u nas nie ma, są tylko syrojeżki, rydze i zielonki — nie mrugnawszy okiem odpowiedział małec.

Oficer widząc, że nie odniesie żadnej korzyści z rozmowy umilkł.

W głębi lasu, w młodym i gęstym sośniaku, z którego był widoczny zakręt drogi, leżało kilku mężczyzn. Leżeli jeden obok drugiego, a broń oparta o drzewa stała tuż przy nich. Od czasu do czasu zamieniali parę słów, odgarniali gałęzie i uważnie rozglądali się po okolicy.

— Słyszycie! — odezwał się nagle jeden, odwracając się do towarzyszy i unosząc się na łokciach. Odwrócił głowę w stronę, z której przez niewyraźny szum lasu, dolatywał daleki ptasi śpiew.

— Czy ci się tylko nie zdaje — spytał drugi, ale mimo to wyciągnął spod korzeni parę granatów i położył koło siebie.

— No, teraz to chyba i ty słyszysz — odpowiedział po chwili pierwszy.

Ptasia pieśń stała się coraz wyraźniejsza. Mężczyzna, który pierwszy ją usłyszał, wychylił się przez gałęzie i z napięciem zaczął cicho liczyć: „raz, dwa, trzy, cztery...”

— Oddział składa się z trzydziestu dwóch ludzi — liczył człowiek, wsłuchując się w ptasi świergot mówiący i opowiadający tylko im zrozumiałym języ-

kiem. Rozległo się kukanie kukułki. — Dwa karabiny maszynowe... — powiedział głośno licząc.

— No, cóż, zaczniemy — odezwał się milczący dotychczas brodaty mężczyzna, podnosząc karabin.

— Pośpiesz się — odpowiedział pierwszy, kładąc młodszemu rękę na ramieniu. — Oni tam czekają. My z Stepasem przepuścimy ich, a jak wy zaczniecie, podgrzejemy ich z tyłu. Nie zapomnijcie tylko o słowiku, jakby coś się stało. Biedak od wczoraj nic nie jadł...

Po paru minutach oddział Niemców dotął do sośniaku. Słowik z takim samym zapałem śpiewał i kukał dalej, ale dla rozumiejących ptasie trele było to tylko powtórzenie wiadomości znanych już partyzantom ukrytym w lesie.

Kiedy żołnierze wyszli na niewielką polanę, na trele chłopca odpowiedziało jakby echo. Dzieciak, idący brzegiem lasu, jak wystraszony zając dał nurka między krzaki. Odgłos strzałów przerwał ciszę i przewrócił porucznika, który nie zdążył nawet wyjąć broni. Oficer upadł na piaszczystą drogę. Jeden za drugim padali żołnierze. Jęki, słowa komendy i krzyki przerażenia zaczęły rozdzierać powietrze.

Wszystko jednak prędko ucichło, a lekka, piaszczysta ziemia wessała krew zabitych Niemców.

Następnego dnia, na końcu spalonej wsi, przy skrzyżowaniu dróg, na tym samym miejscu, w rowie siedział, może trzynastoletni chłopiec i coś strugał, od czasu do czasu spoglądając na drogi wiodące do wsi, jak gdyby kogoś oczekując.

A z ust jego płynęła czarująca, świeża melodia, której najbardziej wprawne ucho nie potrafiłoby odróżnić od śpiewu słowika.

1942.

A. L. GNIADOWSKA

Litewska literatura walki

DWA LATA temu, na Litwie obchodzone uroczyste 400-lecie książki litewskiej. Przy tej okazji przypomniano pierwszy druk w języku litewskim wydany w roku 1547; autorami byli Stanisław Rapaloni i Abraham Kulwietis, profesorem uniwersytetu w Królewc.

Data ta rozpoczyna dzieje literatury litewskiej, tak ściśle związanej z życiem i przyszłą walką narodu litewskiego. Charakterystyczną bowiem cechą piśmiennictwa litewskiego oraz całej kultury litewskiej jest łączność z narodem, z jego najliczniejszą warstwą — z chłopem.

Początkowo, język litewski był tylko językiem „pospółstwa” — chyba dlatego staje się od końca XVIII w. narzędziem walki o wolność ludu. Jeśli sprawdzimy socjalne potrzeby, przeżycia i uczucia, prowadziła lud do walki o wolność, broniła jego praw do kultury.

W końcu XVIII wieku ukazuje się słynny poemat Krystiana Duonelajtisa pt. „Rok” — jeden z najpoważniejszych utworów litewskiej literatury klasycznej. Poemat ten jest krytyką i protestem przeciw pańszczyźnianej niewoli, przeciw niemieckiej kolonizacji, jest wezwaniem do walki. Ze względu na swój rewolucyjny charakter utwór ten nie znalazł wydawcy z życia autora i ukazał się w 40 lat po śmierci Duonelajtisa. Taki sam los spotykał twórcy innych pisarzy, jak Dionizy Pośki, A. Stradasa, A. Baranauksa. Mimo to krażyły one w opisach, były znane o wiele wcześniej, nim ukazały się w druku.

Ponieważ literatura litewska od swoich początków posiadała charakter rewolucyjny, ponieważ była bliska narodowi a wroga feudalnej szlachcie i burżuazji dzierżącej w swym ręku wydawnictwa, książki musiały czekać na wydanie, dopóki nie straciły na aktualności — albo wychodziły drukiem za granicą.

Jednym z najwybitniejszych utworów okresu romantyzmu jest poemat A. Baranauksa pt. „Borek Oniksztyński” (Aniksciu, Šilėlis), który dzielnie rywalizuje z „Panem Tadeuszem”.

Polowa XIX wieku, ściślej — czasy Wiosny Ludów, to okres szczególnie ważny dla naszego rozwoju literatury litewskiej. Demokratyczne ruchy wolnościowe, walka burżuazji z feudalizmem i pańszczyzną, wszystko to stwarzało korzystne warunki dla rozwoju życia społecznego i kulturalnego. Wówczas bowiem krzepną i powiększają się kadry nowej ludowej inteligencji, która rozumie potrzeby swego narodu. Ruchy demokratyczne w Polsce i w Rosji, a zwłaszcza postępowe środowisko na uniwersytecie wileńskim, sprzyja temu procesowi, kształtuje i wychowuje pisarzy i działaczy. Powstają pierwsze podręczniki szkolne, mnożą się popularne wydawnictwa dla wsi, zwiększa się grono stałych czytelników.

W tej atmosferze rozpoczęła się działalność znanych pisarzy owego okresu: Szymona Daukantasa, Vallunasa, braci Niezabitauksa: — Zabcia!; przyłączyli się do ruchu również działacze starszego pokolenia: Dionizy Pośki, Pabreža i in. W tym czasie powstaje nie tylko literatura piękna, ale również historia Litwy, etnografia, archeologia, bibliografia. Książka świecka coraz bardziej zaczęła rywalizować z religijną, docierając do w.ęjskiego czytelnika. Lauryn

Ivinskas wydaje pierwsze litewskie czasopismo pt. „Mieskaikliai”, zapoczątkowując nim litewskie czasopiśmiennictwo.

Jakie znaczenie miała ta praca społeczno-oświatowa pisarzy litewskich z okresu Wiosny Ludów, okazało się dopiero po powstaniu r. 1863, kiedy rząd carski zabronił wydawania i rozpowszechniania jakichkolwiek druków w języku litewskim. Książka zesłała wówczas do podziemia, ale nieugięta postawa całego narodu, przygotowanego przez poprzedni okres — nie pozwoliła zahamować rozwoju kultury i literatury litewskiej.

Książka wprawdzie zmieniła swój kształt i format, stała się cieniutkim zeszytciem łatwym do schowania, gdyż właścicielowi jej groziła na każdym kroku katorga carska. Wydawnictwa litewskie przenosiły się do Tyłży i Królewca, skąd tajnie przemycano książki przez granicę i kolportowano przede wszystkim wśród ludu. Ciekawym zjawiskiem z tego okresu jest powstanie „zawodu” przemytników książek, którzy z całym poświęceniem zaopatrywali kraj w litewską literaturę. Pamięć o tych „knygniesiai” przetrwała na Litwie do dnia dzisiejszego.

Czterdzięci lat podziemnego życia literatury litewskiej nie wstrzymało więc jej rozwoju. W tym czasie powstały tajne czasopisma społeczno-literackie „Aušra” i „Varpas” oraz weszli do literatury tacy pisarze poeci i publicyści, jak J. Basanavičius, V. Kudirka, J. Jablonskis, J. Tumas-Vaižgantas, którzy swoją działalnością podtrzymywali naród na duchu, wskazywali celowość walki. Książki ich, tajnie rozpowszechniane, czytane przy świetle luczycywa w chatkach, przy zamkniętych drzwiach, uczyły przede wszystkim o wolności i piśmie do litewsku. Rząd carski nie zdołał zabić ducha narodu, jego pragnienia wolności i potrzeby własnej kultury. Dojrzała rewolucyjna świadomość walki, rozwijała się demokratyczna literatura i już wówczas głosiła pierwsze idee socjalizmu.

Do najwybitniejszych klasyków ówczesnego realizmu należy czołowa pisarka litewska, Julia Zymontienė (1845—1921), pisząca pod pseudonimem Zemaitė (Zmudzinka). Poeta ciekawa nie tylko z punktu widzenia literackiego. Zemaitė, półanalfabetka, chłopka, połowę swego życia pracuje na roli. Dopiero mając około 50 lat zaczyna pisać, porzuca wieś, zostawiając dorosłe już dzieci i męża i staje się wybitną działaczką demokratyczną, publicystką i prozaičką.

Zemaitė nie tylko po mistrzowsku malowała w swych utworach życie budzącego się narodu, lecz wychowywała, pobudzała



Petras Cvirka

naród do szybszego zrucenia resztek przesadów z okresu feudalnego i wpływów kleru. Do najlepszych jej nowel należą: „Synowa”, „Jesienny wieczór”, „Topylis”.

Typowym przykładem pisarza-działacza i bojownika jest Wincenty Mickevičius, Kapsukas (1880—1935), organizator litewskiego proletariatu, tworca ruchu komunistycznego na Litwie, bezkompromisowy wróg rządów carskich nieugięty rewolucjonista. Znał on jest jego powieść pt. „W carskich więzieniach”.

Najwybitniejszym poetą ówczesnego okresu jest Maironis (1862—1932), którego poezja łączyła w jeden akord myśli i uczucia ludu litewskiego. Jego romantyczna strofa pełna liryzmu, uroku i prostoty wyodrębniła i stała się jej autorem w poczet najwybitniejszych poetów swego pokolenia. W wierszu pt. „Moja ojczyzna” tak mówi o sobie:

Tu wyrosłem, przecierpiałem
Braci mych cierpienia,
Polubiłem, pokochałem
Biedaków marzenia.

Rok 1904 jest datą częściowego wyjęcia z podziemia literatury litewskiej. Zaczyna



Salomea Neris

chodzenie pisarzy litewskich, przekonamy się, że prawie wszyscy wybitni są pochodzenia chłopkiego. Biorąc to pod uwagę, zrozumiałe się staje, dlaczego literatura litewska szła zawsze w jednym szeregu z większością narodu, dlaczego wiernie odtwarzała jego po-

piśnię ułubiony poeta ludu Jovaras. Ponieważ jednak większość literatury litewskiej, ze względu na swą treść, pozostaje nadal nielegalna, wychodzi nadal za granicę. W kraju zaczynają ukazywać się robotnicze czasopisma — „Robotnik”, „Nowa era” i inne. Stan taki trwa do Rewolucji Październikowej. W tym okresie rozpoczyna działalność literacką świetny nowelista J. Biłunas i poeta proletariatu J. Janonis.

Po Rewolucji Październikowej, kiedy powstała Litwa Radziecka, przed literaturą litewską otwierają się po raz pierwszy nowe, szerokie horyzonty. Jednakże reakcyjna burżuazja przy pomocy niemieckich interwentów zagarnia władzę, przerywając nurt postępowej literatury litewskiej. W okresie rządów burżuazji, według słów słynnego postępowego pisarza, ks. Vaižgantas, biedak wiejski prędzej zdobywał się na kupienie książeczki, niż miejski „inteligent”.

Postępowa literatura znów schodzi do podziemi, tym razem już nie wychodząc poza granice Litwy. Znamienny staje się fakt, że prawie wszyscy wybitni pisarze litewscy okresu międzywojennego należeli do ruchu rewolucyjnego. Rząd Smetony nie zdołał pozyskać nikogo. Powstaje w tym czasie grupa postępowych pisarzy z Petrasem Cvirką, Salomeą Neris (S. Bućienis), V. Montvila, A. Venclova, T. Tilvyt's, J. Baltusis, J. Marcinkевичem na czele, którzy w świetnych utworach demaskowali rządzącą burżuazję, wykazywali jej zwyrodnienie, głosili idee socjalizmu. „Trzeci Front” to przede wszystkim szkoła nowoczesnego pisarza, pisarza postępowego. Pisma wydawane przez grupę literacką „Trzeci Front” były likwidowane przez rządy Smetony, jednakże społeczna działalność tej grupy, tajne wieczory literackie wśród robotników i chłopów wychowały nowe pokolenie pisarzy, które dziś jest trzonem litewskiej literatury radzieckiej.

Bezsprzecznie najwybitniejszym przedstawicielem „Trzeciego Frontu” jest syn małorolnego chłopca Petras Cvirka (1909—1947), którego pierwsze już opowiadania „Stowo o rewolucji” i „Superfostat” wysunęły na czoło młodej literatury litewskiej. Zbiór opowiadań wydany w 1930 r. pt. „Zachód w Niskiej gminie” potwierdził i utrwalił talent i znaczenie młodego pisarza. Petras Cvirka był duszą „Trzeciego Frontu”. W 1934 roku wychodzi dwutomowa jego powieść pt. „Frank Kruk”, osnuta na tle życia emigracji litewskiej w Ameryce. W powieści tej Cvirka nie tylko celnie demaskuje egoizm, tepotę i moralną nicotę burżuazji, lecz odsłania fałsz bredni na temat fikcyjnej „niepodległości” Litwy i rzekomego podnoszenia przez burżuazję poziomu kulturalnego.

Po upływie roku Cvirka wydaje drugą powieść pt. „Ziemia Karmielka”, opisując w niej życie biednych chłopów po tak zwanej „reformie rolnej”, przeprowadzonej przez smetonowców w celu rozbicia i stłumienia ruchów wyzwolczych wśród bezrolnego chłopstwa. Głęboki psycholog, doskonały stylista a przede wszystkim plastyk-realista obnaża zło społeczne, którego źródła tkwią w ustroju kapitalistycznym.

„Ziemia Karmielka” dzięki swojej treści społecznej wywarła ogromny wpływ na całą literaturę litewską, gdyż była pierwszą książką stawiającą w prawdziwym świetle współczesną wieś. Cvirka odrzuca zdecydowanie idealizm swoich poprzedników, dla których wieś była jedynie „krajem jezior i brzoź”.

Z innych utworów Cvirki należy wymienić „Cukrowe baranki”, „Majster i jego synowie”, „Codzienne historie” i „Korzenie dębów”, oraz niedokończoną powieść „Rzeka nie wraca po prad”, zaczęta przez autora niedługo przed śmiercią, która nastąpiła 2 maja 1947 roku.

Chłonową poetką „Trzeciego Frontu” jest Salomea Neris (Salomea Baciniskienė, 1904—1945), również córka małorolnego chłopca, debiutowała zbiorkiem poezji pt. „Wczesnym rankiem”, który ukazał się w r. 1924. Później wyszły „Ślady na piasku”, „Dziki jabłonie”, „Śpiewaj serce o życiu” i inne. Po wojnie wydała po rosyjsku tomik pt. „Mój kraj” oraz w ojczystym języku „Słowo nie może nie śpiewać”.

Wiersz Salomei Neris zbliża się całą swoją strukturą do litewskich dajń ludowych, swoją melodyjnością, kolorystem i pejzażem przypomina mieniące się światło burzyny. Głównymi bohaterami poezji S. Neris są najczęściej chłopci. Jej czysta liryka, szczerza i bezpretensjonalna, jest zawsze wzruszająca rozmową z czytelnikiem; jest to przede wszystkim poezja serca bijącego zgodnie z rytmem życia narodu.

Ludowym poetą jest również Liudas Gira. Liryk i pieśniarz, autor licznych zbiorów poezji, np. „Zielona łąka”, „Na dalekich drogach”, „Liryka”, „Polne pieśni”. Teatry litewskie wielokrotnie wystawiały jego popularne sztuki „Zemsta”, „Goście” i „Wschodząca jutrzienka”. Liudas Gira otrzymał za swoją bogatą i różnorodną twórczość zaszczytny tytuł Ludowego Poety Litewskiej SRR.

Niemniej popularny jest poeta i prozaik Antanas Venclova, którego gościłmy w Polsce dwukrotnie. Pierwszy swój tom wierszy („W zaułkach półmroku”) wydał w roku 1926. Wkrótce potem Venclova staje się jednym z członków-założycieli grupy „Trzeci Front”. Z tego okresu pochodzi powieść „Przyjaźń” i zbiór nowel „Noc”. W czasie wojny Venclova wyjeżdża do Moskwy, gdzie w roku 1941 wydał w Moskwie nowy tom poezji pt. „Droga do Litwy”; są to proste, szczerze wiersze żołnierza, pełne tęsknoty do kraju i zdecydowanej wiary w zwycięstwo. Już po wojnie wychodzą jego tomiki wierszy „Gdzie jabłoń dorodna”, „Młodość kraju”, oraz zbiór nowel „Drzewo i jego pędy”. Obecnie poeta pracuje nad tomem wierszy

o Polsce, który ma się ukazać w najbliższym czasie.

Jedną z przedstawicielek grupy pisarzy z tzw. Małej Litwy (południowo-zachodniej, graniczącej z Prusami Wschodnimi) jest Jeva Simonaitis. Znałe są jej powieści „Los Szymoniszów”, „W wiosennych burzach”, „Król Wilhelm” i in. Historia rodziny Szymoniszów to historia nie tylko wielu rodzin litewskich, lecz również wielu rodzin mazurskich, których losy były bardzo zbliżone do losu Litwinów, zamieszkujących pogranicze Prus Wschodnich. Historia rodziny Szymoniszów, to usymbolizowana odwieczna walka narodu litewskiego z niemieckim zaborcą. W czasie wojny Niemcy skonfiskowali i zniszczyli wszystkie książki tej pisarki. Znaczenie jej pracy literackiej polega przede wszystkim na tym, że twórczością swoją przeciwdziała wynaradawianiu Litwinów przez Niemców i niszczeniu kultury litewskiej.

Interesującym i postępowym pisarzem jest Jonas Marcinkевичus, który za działalność polityczną był skazany na długoletnie więzienie przez rząd smetonowski. W więzieniu napisał dwie powieści: „Skuci łotwowie”

i „My przychodzimy”. Poza tym jest autorem powieści: „Beniamin Kordusz”, „Rzeźnia w Krozach”, „Niemen wylał”, „Srebrne dzwony”, „Pańszczyznian”. Po wojnie ukazał się zbiór jego nowel pt. „Życie się pali”.

Mówiąc o literaturze dwudziestolecia, nie sposób pominąć takich nazwisk, jak Kostas Korsakas, Petras Vaiciunas, T. Tilvytis, V. Valsiumienis, Antanas Vieniulis, Juozas Dovydaitis, Jonas Šimkus, których twórczość jest nie mniej wartościowa i nie mniej charakterystyczna dla tego okresu.

Dopiero dziś, po uzyskaniu wreszcie przez Litwę niepodległości i wyzwolenia społecznego literatury litewskiej może rozwinąć się w pełni, wychodzi całkowicie z podziemi, gdzie z małą przerwą (1918 r.) przebywała z górą sto lat.

Powojennej literaturze litewskiej przewodzi nadal grupa pisarzy „Trzeciego Frontu”, na miejsce zmarłych: L. Giry, P. Cvirki, S. Neris, przychodzą inni, młodzi.

Często w tematyce swoich utworów pisarze powracają do okresu przedwojennego, ukazując kontrast obecnego życia z przedwojennym. Taką typową próbą oceny jest

sztuka obecnego prezesa Zw. Pisarzy Litwy Radzieckiej J. Baltusisa „Pieją Koguty”.

Z najmłodszego pokolenia pisarzy litewskich należy wymienić Edwarda Miezajtisa, poetę i liryka, który debiutował tomikiem wierszy „Liryka” w r. 1943. Władysław Mozoriunasa, który wydał tomik „Garsć Ziemi”, oraz najzdolniejszego z nich, Wacława Reimerisa, autora tomiku „Ziemia Ojców” i „Z wiosną”.

Trudno jest w informacyjnym artykule omówić i scharakteryzować twórczość wszystkich pisarzy litewskich, ukazać oblicze literatury litewskiej i jej walory artystyczne, tym bardziej, że dla polskiego czytelnika jest ona prawdziwą „ziemią nieznaną”. Dotychczas posiadamy jedynie przekład pierwszego tomu powieści „W cieniu ołtarzy” V. Mikolaitisa - Putinasa, oraz słabą „Antologię poezji litewskiej” na podstawie której nie można sądzić o walorach artystycznych tej poezji.

A przecież literatura litewska jest tłumaczona na wiele języków, m. in. na rosyjski, francuski, angielski, nawet chiński.

A. L. Gniadowska

IANINA PRAGERÓWNA

SIEDEMNASTCIE OPOWIADAŃ RADIOWYCH

W zbiorze siedemnastu opowiadań o najróżniejszych treściach, nagrodzonych na radiowym konkursie na nowelę („Siedemnaście opowiadań”, nakładem Radiowego Instytutu Wydawniczego) czytelnik najpierw zauważy dwie sprawy, które bynajmniej nie są najważniejsze: mało tu jest humoru, a już wcale nie ma romansu. Ten ostatni objaw tematyki jest zresztą zjawiskiem dość powszechnym w dzisiejszej literaturze. Mimo to wszystkie opowiadania interesują czytelnika żywą akcją i bliskością życia. Tematu, tym trzeźwym spojrzeniem realisty, który widzi przede wszystkim dzień dzisiejszy, ważny dla wszystkich i nie wymagający jakichś specjalnych wprowadzeń, objaśnień, tajemniczeń na arkaizm sztuki czy historii. Dlatego książka nadaje się na lekturę popularną: jej tematyka i forma jest bliższa szerokim warstwom społeczeństwa.

Charakterystyczne dla tego „potocznego realizmu”, jaki przynosi tom, są takie opowiadania „szarego człowieka” jak Demkowskiej „W pociągu”, czy Gizeł „Taniec śmierci”. Okupacja nie jest tu czasem nieludzkiego bohaterstwa i nieludzkiej cierpliwości — ale wspomnieniem, najlepiej wszystkim znanym z codzienności tych niedawnych lat: wspomnieniem drogi, jaką każdy z nas tyle razy odbywał — drogi obok transportu, obok śmierci, drogi po chleb czy cukier, czy z łopata do kopania okopów. — Te bezpretensjonalne opowiadania są głosem bardzo charakterystycznym i bardzo bliskim czytelnikowi. Okazują one ludzką wspólność przeżyć, jaką jest między piszącym i czytającym. To wiele.

Przy rozpisywaniu przez Polskie Radio konkursu na nowelę, nie chodziło o poszukiwanie jakichś zapoznanych talentów — pisze w przedmowie do wydawnictwa członek sądu konkursowego Jerzy Pański — lecz o „rozszerzenie bazy społecznej naszej literatury (...). Już sam geograficzny rozkład materiału (nadesłanego na konkurs) nasuwa wiele refleksji (...). Uderza ogromna przewaga utworów nadesłanych z odległej prowincji, niki zaś udział większych ośrodków kulturalnych kraju”. Stosunek ilościowy utworów radiowych zawodowych do debiutantów przedstawia się w tomie jak 4 do 13! Zamierzenie organizatorów konkursu zostało spełnione: głosy, które odpowiedziały na wezwanie, to głosy spoza kół zawodowych i one przeważają w tomie wybranych z czterech tysięcy „Siedemnastu opowiadań”. Świadczy to o bardzo czynnym działaniu przedtem ustosunkowaniu się szerokiego kół społeczeństwa do wydarzeń, do życia i historii bieżącej. Wiecej ludzi myśli i ocenia to, co się wokoło dzieje i pragnie o tym powiedzieć.

Książkę można podzielić na trzy części: opowiadania „na dowolny temat”, w których przeważa tło czasów przedwojennych, o wiele mniej liczne opowiadania okupacyjne i kilka nowel z okresu odbudowy.

Różnej wartości są te opowiadania „na dowolne tematy”. Dobre wzory literackie, bogactwo wątków fabularnych wystarczą jednak, by zapewnić im pożyteczność. A więc:

Dobry obrazek obyczajowy Róży Ostrowskiej „Itka Fejgus”. Jest to wspomnienie o złych i dobrych kolejach losu żydowskiej

sklepiarki w spokojnej prowincjonalnej miejscowości — w przeddzień epoki likwidacji, opowiedziane jako obserwacja małej „panienki” z zadziornego dworku. Dyskretna, refleksyjna narracja z punktu widzenia zbliżającego się zmierzchu życia tych ludzi, skazanych na nagłą zagładę, wbrew naturalnemu biegowi rzeczy. Ten punkt widzenia wyróżnia się nośnością wśród dotychczasowych ujęć tragedii żydowskiej. Jest to wspomnienie napisane nie „od wewnątrz”, biblijnych czy apokaliptycznych mak ludu pariasów, nie przez ofiarę — lecz od wewnątrz spraw społeczeństwa polskiego. Od wewnątrz tradycyjnych form życia polskiego, w którym mieściło się w sposób naturalny — przypomina autorka — zwyczajne życie drobego sklepikarza czy rzemieślnika żydowskiego, tak charakterystyczne dla obrazu życia na prowincji. Piękne jest w noweli Ostrowskiej, że autorka potrafiła nas wzruszyć opowieścią nie o nieludzkiej mecie Żydów, lecz o naturalnym, ludzkim ich życiu. Rzecz podana jest w stylu znakomitych pisarzy dwudziestolecia, u Ostrowskiej mniej świeżym niż u jej wzorów.

Obok tego „Pełta” Alicji Madeyowej, puśty żarcik pełen temperamentu i bezinteresownego rozmachu; wyczyn akrobatyczny narwanej lotniczki, amatorki latania jako „sztuki dla sztuki”, dla miłośników Janusza Meissnera; słabsza od „Pełty” „Kolega ludowa” Igora Nowy, w której ciekawszemu środowisku i fiklorz wiele utraciły przez szablonoową stylizację i zbyt udatnione optymistyczne rozwiązania sytuacji i problemów psychologicznych; wreszcie bardzo dobrze skomponowane opowiadanie wprawno pióra „Godzina zwierzeł” Wojciecha Drygasa — z typu patriotycznej „zachodnio-europejskiej egzotyki” ostatniej wojny a la Pruszyński.

Opowiadanie Adolfa Sowińskiego „Ojciec i syn”, zatrącające o Stenhalu i nowszą literaturę francuską z zakresu psychologii ambicji, religii i erotyki, na tle tego tomu biały kruk, jest raczej nierozwiniętym szkicem powieściowym niż nowelą.

I tak dalej i tak dalej. Silva rerum.

Wśród różnorodnych opowiadań zwraca uwagę grupa nowel, których bohaterem jest chłop. „Gleniowa bieda” Bronisława Długoszewskiego, „Korkowiec” Władysława Kozłowskiego — i należałyby tu zaliczyć także „Święto pasów” Jana Kurczaba, jeśli upierać się przy chłopim brzmieniu nazwiska maistrza: Cisów.

„Gleniowa bieda” i „Korkowiec” wywodzą się z literatury demaskującej, która odsłania nam nieprzebrane dotychczas aspekty kryzysu społecznej chłopu w Polsce międzywojennej. „Korkowiec” jest tradycyjnym, naturalistycznym obrazkiem pełnego pogębienia życiowego jednostki słabszej od swojego środowiska, niedorozwiniętego chłopaka wiejskiego. Zakończenie noweli — samobójstwo dziecka — jest charakterystyczne dla tego wczesnego gatunku literatury krytyczno-społecznej, która pesymistycznym, negatywnym obrazem starała się pobudzić społeczeństwo do protestu. Miało to swoją rację do roku 1938. Bardziej interesująca natomiast jest „Gleniowa bieda”, zawierająca istotnie nowe jeszcze odsłonięcia „dna nędzy” moral-

nej i fizycznej, w jakie strącono chłopca polskiego i w jakim trwał również w czasie okupacji. Krótkie i rzeczowe sprawozdanie Długoszewskiego posiada wiele siły i powściągliwości — tym wyraźniejsze wnioski wyciąga z niego czytelnik.

Tematem „Gleniowej biedy” jest paradoksalne zdanie z listu, jaki więziony w obozie koncentracyjnym robotnik rolny otrzymał od swej żony. Kobieta radzi mu, by pilnie pracował i starał się nie utracić miejsca w tym obozie. Tego rodzaju uobrażenia mogły powstać w głowie nieszczęśliwej chłopki oczywiście tylko na dzień ciemny umysłowej i głodu codziennego — na dzień, które było jej zwykłym życiem. Ciemna kobieta przypuszcza, że w porównaniu z ich egzystencją nawet pobyt w obozie jest „posadą”, na której można żyć z pracy. Autor dopuścił tu nieco paradoksalne założenie, że chłopka, która ratowała u siebie Żydów przed śmiercią z rąk niemieckich, mogła być do tego stopnia nieświadomiona, by nie wiedzieć, że oboz koncentracyjny jest miejscem kaźni. Ale bez względu na życiowe prawdopodobieństwo tej sytuacji — opowieść ma przekonywającą wymowę prawdy artystycznej, tej prawdy, która jest uogólnieniem spraw ludzkich. Nowela Długoszewskiego jest wymownym uogólnieniem jednej z największych naszych klęsk — losu chłopu w Polsce nie tylko przed straszną lekcją historii, jaką była okupacja, lecz nawet jeszcze w latach 1939—1945, kiedy naród przechodził przetworzenie wewnętrzne. Nowela ta z lat niedawnych jest nam jeszcze dziś potrzebna — gdy pracujemy właśnie nad uregulowaniem stosunków społecznych i gospodarczych w Polsce.

Opowiadanie Jana Kurczaba „Święto pasów” w interesujący sposób ujmuje jeden z epizodów odbudowy. Mimo, że autor nie rozwinął akcji według optymistycznego szablonu, lecz zakończył ją ślepym i wrogim przypadkiem: kulą dezerterską niemiecką, którą zabija budowniczego u celu wysiłków — rzecz jest pełna twórczej, wychowawczej siły. Chłowiek ginie, lecz dzieło zostaje i zostaje entuzjazm twórczy w sercach tych, którzy przyjdą na miejsce zabitego. Jest w tym rozwiązaniu wyczuć prawdę artystyczną, prawdy, że nie ma walki bez ofiar i że nawet goręcej kochamy dzieła, opłacane cżyżas ofiara.

Omawiane trzy opowiadania nie przynoszą szczególnych zalet formy literackiej, są pisane tak, jak i przed tymi autorami pisano, a mimo to warte są uwagi, a mimo to są głosem ludzi, którzy mieli coś do powiedzenia, od których dowiedzieliśmy się czegoś.

Utwór zawodowego literata jest jednak niewybitniejszą pozycją tomu. Jednym z najbardziej wzruszających opowiadań jest mianowicie nowela Stanisława Wygodzkiego „Ubranie”. Tematyka okupacyjna, która zresztą w książce zajmuje ograniczone miejsce, nie odstraszy czytelnika od tej lektury. Nie makabra i martyrologia, lecz refleksja nad losem ludzkim, wielka ilość nad duszą człowieka, udręczoną i zablakowaną w obiektywnym okrucieństwie naszego wieku — jest tematem noweli Wygodzkiego. Autor opowiada o przeżyciu matki, która straciła syna w więzieniu hitlerowskim i nie wie, że zmarł on wskutek tortur — a mniema, że odebrał sobie życie przy pomocy trucizny, którą mu przemyciła w ubraniu. Ironia losu i tragedia człowieka, któremu już nie może pomóc, ani prawda, ani zatajenie prawdy — tragedia ta jest rozważana z dystansem i umiarem artystycznym, który wynosi tę sprawę ponad doraźność i oskarżycielską dokumentarność do wysokości ogólnoludzkiego bólu życia — w ciągłe nieludzkiej dotychczas historii, za czasów Hitlera, jak za czasów Edypa, Macbetha i Leara. To opowiadanie bez moratu zawiera najpełniejszy moral: memento o pałającym zadaniu opanowania barbarzyństwa historii przez rozum i etykę ludzką.

Siedemnaście utworów wyróżnionych na radiowym konkursie na nowelę, to zajmująca lektura. Różnorodna tematyka, przystępna, krótka i interesująca forma tych opowieści — to główne zalety książki. Jest to wartościowa lektura ze względu na zrozumiałość i bliską każdemu tematykę aktualną oraz na zdrową wartość wychowawczą.

TREŚĆ NUMERU 10:

Wymowa przyjacieli; Juliusz Fuczik — Czeska literatura w walce o wolność; D. M. Krno — Słowacja na nowych drogach; Karol Krejci — Na nowych drogach badanie czesko-polskich stosunków literackich; Zdzisław Hierowski — O Bedzichu Vaclavku Bedzich Vaclavak — Literatura czeska w XX wieku; Jerzy Wolker, Jarosław Sejfert, St. K. Neumann, Franciszek Halas — Wiersze; Jan Mukarowski, Władysław Vancura — Pisarz i człowiek; Władysław Vancura — Fragment z powieści „Trzy rzeki”; Borzwoj Krzemenak — Twórca czeskiej powieści historycznej (o Alojzym Jirasku); Maria Pujmanowa — Fragment z powieści „Gra z ogniem”; Ewa Korzeniowska — Pierwsza książka Marii Pujmanowej po pol-

sku; Karol Czapek — Bajki; Aleksander Jackiewicz — O „Apokryfach” Karola Czapka; Michał Poważan — O literaturze słowackiej; Stefan Zary, Jan Ponieczan, Włodzimierz Reisel, Jan Rak, Jan Brzezina, Paweł Bunczak — Wiersze; Frano Kral — Fragment z powieści „Cesta Zarubana”; Kazimierz Wyka — O słowackiej sztuce ludowej; Stefan Jaročníski — Czechosłowacka muzyka wczoraj i dziś; Jan Kopecký — Teatr w Czechosłowacji; Józef Felix — Teatr słowacki; Karol Vaneš — Film w Czechosłowacji; A. M. Brouk — O Czechosłowackim filmie kulturalnym; Jan Pilarz — Czeski pisarz i artyści wśród ludu; Jerzy Fischer — Czechosłowacko-polska współpraca gospodarcza; Kolumna satyry czeskiej.

EDWARD CSATÓ

Z notatnika teatralnego

W stronę Szekspira

1. **W**YKA, pisząc przed dwoma laty o omdleniu teatru, wyrażającym się w renesansie Zapolskiej, miał na uwadze przede wszystkim względy repertuarowe; wydaje mi się jednak, że owa przeważająca dostojeństwo traktowanego mieszczańskiego naturalizmu musiała być uznana za jeszcze znacznie groźniejszy objaw, gdyby ją ktoś chciał rozpatrzyć z punktu widzenia samej sztuki scenicznej. Dziś głównie wskutek

szekspirowskiego świata jako żywe i bliskie sobie. Już w okresie owego konkursu, poddając krytyce pewne usterki organizacyjne i artystyczne, zdawaliśmy sobie jednak sprawę z jego ogromnego znaczenia pedagogicznego. Perspektywa jaką mamy obecnie pozwala stwierdzić, że konkurs ten stanowiąc przełom w historii dramatu szekspirowskiego na naszych scenach, odegrał przez to ważną rolę w walce z mieszczańskim stylem naszego teatru. Przed wojną Teatr Polski w Warszawie był u nas głównym i niemal wyłącznym sie-

ści aktorskie — to wszystko na pewno zwiększy walory przedstawienia, jeśli w szafowaniu tymi środkami zachowane będą smaczny umiar, prostota i celowość; jasne jest przecież, iż większy zasób wyrazów teatralnego języka wymaga większej doskonałości od tego, kto chce nim władać.

2. Podczas Festiwalu Szekspirowskiego oglądaliśmy bardzo piękne przedstawienie „Jak wam się podoba” w inscenizacji Galia i wykonaniu jego gdyńskiego zespołu. Był to, jak się mówiło, spektakl „bardzo szekspirowski”, było w nim dużo autentycznej poezji, wynikającej z umowności widowiska, z potraktowania go jako zabawy, sytuacjami swymi prowokującej refleksje nad sprawami człowieka i świata. Nie zapomnijmy jednak, że określenie „bardzo szekspirowskie”, gdy chodzi o przedstawienie utworu Szekspira, musi mieć w teatrze epoki nadchodzącej inny sens, niż miało na scenie, opierającej się na tradycji lat minionych. Wydaje mi się, że katowickie przedstawienie „Jak wam się podoba” w inscenizacji Krasnowieckiego stanowi pod niektórymi względami wyjście poza reguły mieszczańskiego piękna.

„Jak wam się podoba” jest utworem z rodzaju, który można by nazwać poetycką baśnią. Estetyka mieszczańska najchętniej przenosiła owe baśnie w jakieś wyidealizowane rejony, niewiele mające wspólnego ze światem, wśród którego żyjemy. Czynniono to właśnie przez podkreślenie umowności, zabawowości widowiska, przez stylizację, przez stwarzanie dystansu wobec dziejących się na scenie spraw. Krasnowiecki starał się baśń odidealizować, nadał jej realistyczne granice i proporcje. Dekoracje np. (Z Strzeleckiego) nie symbolizują przestrzeni, w której odbywa się akcja, lecz ukazują ją, oczywiście w malarskim i scenicznym uproszczeniu, trafnie i ze smakiem kontrastując nastroj zamku i sielankowego ardeńskiego lasu. Czas, potraktowany przez Szekspira z poetycką bez troską, nabiera w przedstawieniu bardziej realistycznych rysów, przez zaznaczenie zmiennymi nocy, przedzielających poszczególne sceny. W takich ramach baśń staje się

znakomitsze szekspirowskie dramaty — w obu zaś komediach jest tyle poezji czarnej, nie, nie potrafiłbym się zgodzić z konceptem Shawa. Gdy z kolei próbujemy porównać ze sobą „Jak wam się podoba” i „Wieczór”, stwierdzimy, że ten ostatni bardziej jest bez troski, zabawowy, uboższy w uśmiech filozoficzny, a za to rozspiewany, roztańczone, jak karnawałowy żart. Jest w nim jednak pewna postać zastanawiająca i zastanawiająca są jej perypetie. To Melwolio, który kiedyś został uznany przez Boya za główną postać komedii. Gdy spojrzeć na „Wieczór Trzech Króli” z takiej perspektywy, cała owa karnawałowa gonitwa nabierze nieoczekiwanych walorów, stanie się protestem przeciw purytanizmowi i świętoszkostwu, protestem najbardziej celowym, bo zawartym w rozkosznie i kpiąco uśmiechniętej pochwałce życia.

Ciekawe, dlaczego powojenni realizatorzy nie chcieli dostrzec w tej właśnie sprawie głównego nurtu „Wieczoru”. Sławna inscenizacja Dąbrowskiego, teatralnie niezmiernie interesująca (choć często budząca pragnienie polemiki) narzucała wizję, nie tyle ludowej zabawy karnawałowej, ile raczej mieszczańskiego balu maskowego, z romantyczną zabawą w miłość w romantycznej feerii szlacheckich światł. Ostatnio oglądałem „Wieczór” w nowoutwartym teatrze radomskim, na zasadzie fuzji ze sceną kielecką prowadzonym bardzo rozsądnie przez H. Morycińskiego (kierownictwo literackie J. Jedrzejewicza); wydaje mi się, że rację miał Jaszc, w swojej „Geografii teatralnej” uznając ten teatr obok bielskiego za najlepszą scenę tzw. „prowinckiej drugiego rzędu” (po tej krakowsko-katowicko-łódzko-gdyńsko-poznańskiej). Otóż Moryciński potraktował „Wieczór” właśnie jak ludową zabawę, ograniczył nieco wątki miłosne, przede wszystkim starał się ukazać humor blażnady hulańskiej piątki domowników Oliwii. Postać Malwolia mogła na tym zyskać, niestety jej wykonawca J. Niviński potraktował swoją rolę ze zbyt prymitywnym humorem, wydobytą z niej tylko rysy powierzchniowo komiczne; tymczasem komizm Malwolia będzie tym ciekawszy, im bardziej sięgniemy w głąb tej osoby i im dosadniej przeciwstawimy ją jej otoczeniu.



Teatr im. Wyspiańskiego w Katowicach „Jak wam się podoba” Szekspira.

nacisku zewnętrznego to niebezpieczeństwo zmniejszyło się znacznie, nie do tego jednak stopnia, aby ostrzeżenia przed nim straciły swój sens. Zastanówmy się — owe naturalistyczne mieszczańskie sztuki niejednokrotnie wystawia się u nas w imię doskonalenia teatralnego rzemiosła; otóż nie ulega wątpliwości, że tak doskonałe rzemiosło prowadzi teatr do tych samych niebezpiecznych bezdroży psychologizmu i biologizmu, z którym tak ostro walczy się w literaturze. Nic dziwnego, gdy wychowany na tego typu sztukach aktor zagra samego Hamleta histerycznie, dojrzy w nim jakiś „dramat jaźni”, może dramat „psychoanalitycznej podświadomości”. A gdyby odwrócić tę kolejność? Kształcić aktora i reżysera między innymi na Szekspira, a dopiero potem pozwalać mu grać np. „Szczęście Frania”?

Jeśli bowiem weźmiemy się do rzetelnej rewizji naszych wyobrażeń o rzemiosle teatralnym, okaże się, że nie wszystkie sposoby i chwytli nagromadzone przez teatr mieszczański są równie cenne i przydatne; niektórych z nich wypadnie się po prostu wyzybyć, aby nie miały rysunku mającego być podobizną naszego wieku. Walka z „przeżywaniami” z psychologizmem, z formalizmem na naszych scenach musi znaleźć oparcie w odpowiednio dobranym repertuarze, który by stanowił podstawę do pracy nad znalezieniem środków jakiegos scenicznego obiektywizmu.

W tej perspektywie ogromnej wagi nabierają inscenizacje utworów Szekspira na naszych dużych i małych scenach.

2. Literaci, którzy z okazji swego Zjazdu odwiedzili Państwowy Teatr Szczeciński, mieli możliwość przekonać się w jeszcze jednym środowisku, jak wzrasta u nas popularność Szekspira. Dyr. Sawan, który przed półtora rokiem słusznie otrzymał wyróżnienie na

diskiem kultu Szekspira; poza tym spotykało się jego utwory bardzo rzadko w Warszawie i dużych miastach prowincjonalnych, w mniejszych nie pojawiały się one zupełnie. Obecnie w każdym sezonie cała Polska obdzieleną jest mniej więcej równomiernie kilkoma premierami szekspirowskimi; w ostatnim np. czasie poza Szczecinem Katowice wystawiły „Jak wam się podoba”, a Radom „Wieczór Trzech Króli”.

Powiem, że ktoś może, że mniejsze ośrodki teatralne z ich niezbyt mocnymi zespołami nie powinny brać się do inscenizacji dzieł największego dramatopisarza nowożytności! Bo ja wiem... Byłem niedawno w Opolu świadkiem otwarcia tamtejszego Państwowego Teatru. Pokazano nam „Nowego Don Kichota” Fredry, jest to jedna z jego najblizszych komedijek, właściwie niedbałe libretto operetkowe, do którego muzykę dorobił Moniuszko — ale jakież to trudne do grania! Mimo dużych zapewne starań, przedstawienie było zupełnie nieudane, boję się jednak, że i w wielu innych naszych teatrach czekałby tę łatwutką (dla widza) komedię los niewiele lepszy. Tak samo ma się rzecz z mnóstwem byle farsjatek i wodewilów, które trzeba przekomponować, przerobić, wystylizować, dodawać im dowcipy, piosenki, szukać nowych rozwiązań inscenizacyjnych i jeszcze okraszyć to wszystko bardzo interesującą grą aktorską, żeby w ogóle warto było przyjść do teatru. Tymczasem jakiś utwór szekspirowski — naturalnie nie „Hamleta” ale choćby „Wieczór Trzech Króli” — łatwiej jest wystawić tak, aby rzecz nie krzyczała o pomstę do nieba. Zespół może być nawet półamatorski, byle tylko — to jest warunek niezbędny — pracował pod kulturalnym kierownictwem. Niech dojdzie do widowni sam chociaż poprawnie wypowiedziany tekst Szekspira, już będzie dobrze, już przedstawienie reprezentować będzie pewną wartość artystyczną. Prostota, która wynika w takich wy-



Teatr im. Zeromskiego w Radomiu „Wieczór trzech króli” Szekspira

jakoś prawdziwa i bliska dzisiejszemu człowiekowi, mówi o wiernej miłości, o przyjaźni, o uczuciu braterskim, o poświęceniu; przedstawia najpowszechniejsze i najbardziej podstawowe stosunki pomiędzy ludźmi, dobierając tak negatywy i pozytywy, że każdy w owych stosunkach ukazany jest z wielu stron: ksiądz dobry i zły, dobry i zły służący, szlachetny i niegodziwy brat, miłość szczęśliwa i nieszczęśliwa, raz nagła to znów rozwijająca się powoli, wesoła i smutna. Wszystko to składa się na pełną czar i filozoficznego uśmiechu opowieść o ludzkim losie. Otóż zwycięstwo katowickiej inscenizacji polega jak mi się zdaje na tym, że nie traktuje ona tego „losu” abstrakcyjnie, lecz stara się mu nadać możliwie konkretne formy.

Aktorsko nie jest to przedstawienie jednolite, prezentuje bardzo rozległy wachlarz, zarówno jeśli chodzi o styl gry, jak i o jej poziom. Mam wrażenie, że najbardziej interesujące pozycje spektaklu stanowią: Miecikówna jako Celia — prosta, dyskretna, wyrazista, plastycznie zarysowująca swą postać Krasnowiecka w roli Rozalindy — nerwowa, wrażliwa, nader sugestywna w najlepszych partiach swojej roli, w innych fragmentach trochę nadrabiająca kokieteryą. Jastżębski, który postaci Probierczyka dał ujmującą, ciepłą ironię, łagodzącą akcenty pewnej chytrłości, i Orlando — Zardecki, aktor który czyni wyraźne postępy... i zapewne pokona również niedługo przeszkadzające mu jeszcze dwie manierki: zbyt częstego uśmiechu i pieczenia się z własnym głosem.

4. Shaw powiedział kiedyś półzartem, że dwie komedie Szekspira były koncesją na rzecz wulgarnego smaku widowni, co zaznaczone jest w ich tytułach: właśnie „Jak wam się podoba” i „Co sobie chcecie”, czyli „Wieczór Trzech Króli”. Pewnie, że jest w tych utworach sporo jak gdyby pośpiesznej niedbałości, ale przecież nie są od niej wolne i naj-

Wydaje mi się, że „Wieczór” widziany jako protest przeciwko purytanizmowi Malwolia czeka u nas jeszcze na swego scenicznego odkrywcy. Jego tłem jednak powinna stać się taka właśnie bujna zabawa ludowa, jakiej szkieletem było właśnie radomskie przedstawienie Morycińskiego. Piszę „szkielet”, gdyż różnorodność stylu, poziomu gry, ujęcia postaci i tutaj często brudziła myśl reżyserskiej. Interesująca była i. Bielenin jako Viola; młoda ta aktorka posiada rzadką u nas cechę — gra patetycznie, ale jej patos nie refortoryczny, lecz przeżyty, ma wyraźny podkład uczuciowy, wskutek czego jej Viola staje się świeża, naiwna, młoda. Z innych postaci zabawnie dopełniały się dwie dobrze ujęte figury blażnady (Z. Miłski) i lekki wilsowaty Fabian (R. Pietruski); Pajac T. Kallnowskiego miał mniej komizmu, a za to więcej męskiego uroku, zwinności i harmonii w ruchach, dobrze interpretował piosenki — był nie tyle blażnem, ile raczej poetą zby karnawałowej zabawy. Proste i smaczne plastycznie były demokracje J. Feldmana.

5. Jednym z najbardziej istotnych kryteriów przy ocenie przedstawień szekspirowskich wydaje mi się dobre, wierne, plastyczne podanie tekstu. W dużej mierze zależy ono od rzetelnej literackiej analizy. Tu jednak obrzymie trudności następcza brak dobrych, nowoczesnych tłumaczy. Niektóre partie dawnych przekładów dźwięczą dziś zupełnie obco, nieporadnie i niedowcipnie. Pod tym względem bardzo na korzyść wyszło teatrovi katowickiemu wprowadzenie na scenę świętego przekładu Miłozia. Ale na twórczego tłumacza czeka dziś ciele nieomal, ogromne dzieło Szekspira. Przede wszystkim jego komedie (humor starzeje się najszybciej) i jego kroniki historyczne, które najwyższy czas już wprowadzić do polskiego ludowego teatru.



Państwowy Teatr Polski w Szczecinie „Wiele hałasu o nic” Szekspira

Konkursie Szekspirowskim za pomysłową inscenizację „Wiele hałasu o nic” w warszawskich MTD, teraz odmienny jeszcze nieco i udoskonalony pod niektórymi względami to przedstawienie, zaprezentował je publiczności szczecińskiej. Ludzie chodzą, biją brawo, co zaś najważniejsze, odczuwają sprawy

padkach z konieczności ograniczenia się do jak najbardziej skromnych środków, daje właśnie wyniki interesujące.

Nie znaczy to oczywiście, aby teatry lepiej wyposażone miały się lękać Szekspira. Artystyczne bogactwo scenicznej oprawy, ciekawe pomysły reżyserskie, interesujące indywidualno-

NA PÓLKACH KSIĘGARSKICH PRZEGLĄD PRASY

Helena Jaworska. Było nas stu. Okładkę projektowali Ewald i Sława Guyscy.—Warszawa. „Piomienie”, 1948, str. 241 i 3 nł. i tabl. 18.

Do kategorii literatury historyczno - pamiętnikarskiej należy — podobnie jak omówiona wyżej publikacja „Ludzie i wydarzenia” — również książka Jaworskiej p. t. „Było nas stu”. Temat walk niepodległościowych z okupantem hitlerowskim zważony tu jednak został do odcinka młodzieżowego, obejmującego historię powstania i działalności Związku Walki Młodych.

Książka Jaworskiej zawiera opisy akcji bojowych, relacje z prac oświatowo-wychowawczych i ideologicznych Z.W.M., wyjątki z pism konspiracyjnych Związku i t. p. materiały, powiązane w żywą i chronologiczną całość (1939—1945) wspomnieniami autorki, uczestniczki prac i walk ZWM od chwili jego narodzin.

Obszerne potraktowana przez autorkę historia ZWM wmontowana jest w szersze ramy sprawy i wydarzeń politycznych, które stanowiły wówczas o rozwoju sytuacji ogólnej w okupowanej Polsce — słusznie i celowo uwydatniono w książce znaczenie Polskiej Partii Robotniczej, jako protagonistki narodowej walki wyzwolitej. Właśnie PPR wytknęła dla całego narodu jasną i prostą drogę wyzwolenia, drogę, na którą nikt przedtem nie umiał i nie chciał wkroczyć.

„Działalność PPR — pisze w przedmowie b. przewodniczący Zarządu Głównego ZWM Jerzy Morawski — łącząca w sobie realistyczną, opartą na naukowych podstawach ocenę rzeczywistości z romantyzmem wielkiego czynu i ofiarnej walki dla sprawy swego narodu, znalazła głęboki oddźwięk wśród młodzieży... PPR powołała do życia nową organizację młodzieżową, organizację walki w imię godności i dumy narodowej młodego pokolenia, organizację walki o wolność i lepszą przyszłość młodzieży. Taką organizacją stał się ZWM.

Z kart książki Jaworskiej czystym a donośnym głosem przemawiają najszlachetniejsze cechy i zalety młodych żołnierzy Polskiej Ludowej — ich patriotyczny zapał, mistwo, bezgraniczna ofiarność i pełne oddanie się sprawie. Postacie Hanki Sawickiej, Janka Krasickiego i innych przodujących ZWM-owców utrwalają się głęboko w pamięci czytelnika, nabierając znamion zaślony wielkości i całocłowy obraz dziejów narządu hitlerowskiego i walki narodu polskiego z okupantem.

Książka Narbutta, zawierająca wspomnienia osobiste autora, epizody i fragmenty konspiracji demokratycznej, sylwetki polskiego Ruchu Oporu oraz krytyczne rozważania na temat klęski wrześniowej i powstania warszawskiego, należy do interesujących pozycji tej literatury przyuczynkowej, która zbliża czytelnika do treści lat pamiętnych i jeszcze „nieostygłych”, ułatwiając zrozumienie i ocenę ówczesnych wydarzeń.

Jako czynny uczestnik i organizator walki zbrojnej z okupantem, autor omawia zwięźle lecz treściwie genezę, założenia i cele demokratycznego ruchu podziemnego, uwydatniając historyczną rolę Gwardii Ludowej i Armii Ludowej, które pod kierownictwem politycznym PPR podjęły szerokie masy narodu do decydujących zmagania o niepodległość i wyzwolenie społeczne.

Demokratyczny, robotniczo-chłopski Ruch Oporu stosował w swych działaniach inne hasła i zasady, niż organizacje uzależnione od emigracji londyńskiej, która zalecała „stać z bronią u nogi”. Toteż, jak udowodniają liczne przykłady autor książki, zdarzało się nieraz, iż broń, bezczynna w stosunku do okupanta, zwracano w sposób bratobójczy i podstępny przeciwko tym, którzy dalecy byli od wyznawania teorii „dwóch wrogów” i walczyli z jednym tylko i prawdziwym wrogiem Polski — faszyzmem niemieckim.

Książka Narbutta, dając sporo materiału do refleksji, pozwala — tak jak pragnie tego autor — dojrzeć „w skomplikowanym mechanizmie walki narodu polskiego o wolność te sprężyny, które tę walkę inspirowały, i zrozumieć, że tej inicjatorem stały się te klasy, które przed 1939 rokiem od władzy w Polsce były odsunięte”.

KSIĄŻKI NADESŁANE

Georges Politzer: Cours de philosophie, 1. Principes elementaires. Wyd. II. Paryż. Editions Sociales.
Georges Cognat: Actualité du Capital. Editions Sociales.
Albert Soboul: La Révolution française 1789—1799. Editions Sociales.
Henri Claude: Le plan Marshall. Editions Sociales.
Roger Garandy: Les sources françaises du socialisme scientifique. Paryż. Ed. Hier. et aujourd'hui.
Jean Laffitte: Ceux qui vivent. Ed. Hier et aujourd'hui.
Constancia de la Mora: Piere Espagne. Przekład z hiszpańskiego. Ed. Hier et aujourd'hui.

DZIEDZINĄ pisarza i artysty jest przede wszystkim moralność. Prawdziwa ludzka moralność, która nie ma oczywiście nic wspólnego z pseudomoralnością mieszczańską. Toteż pisarz, malarz, muzyk, a także uczyony, w chwili gdy świat dzieli się już wyraźnie na obóz moralności ludzkiej i obóz obłudy, staje bez wahania — jeśli naprawdę jest pisarzem, artystą lub uczyonym — po stronie ludzkiej moralności, podnosi głos przeciwko obłudzie.

Te głosy są liczne. Słyszeliśmy je we Wrocławiu, słyszemy je dziś w Paryżu, usłyszymy je jutro w Nowym Jorku, gdzie zbiera się amerykański Kongres w obronie pokoju. Te głosy są nam bliskie. Każą nam ufać w jedność i niepodzielność nie tylko naszego starego kontynentu, ale całego świata, gdziekolwiek mieszkają ludzie. W tej wielkiej międzynarodowej braterstwa, pokoju i walki o postęp świata zasiadają nie tylko sekretarze komunistycznych partii, ale i ostatni uczyony liberal, wielki pisarz Tomasz Mann, i chilijski poeta Neruda, i Benda, i wielki malarz Picasso, i mądry Lukacs i tyłu innych, którzy mogą o sobie powiedzieć — my jesteśmy dziś sumieniem świata.

Myślę, że za mało pisze się u nas zarówno o tym wielkim wysiłku intelektualistów w dziele utrzymania pokoju i obrony postępu społecznego, jak i o nich samych, o ich pracy, o ich dziełach. Tomasz Mann, który odważnie oświadczył niedawno, iż prześladowania i nietolerancja wobec postępców czy komunistów w Stanach Zjednoczonych łatwo może się zakończyć pełnym triumfem idei faszyzmu, wydał od wybuchu wojny w roku 1939 kilka książek. Do tej chwili ani jedna z nich nie została przedłożona na język polski, choć Czesi mają już przekład „Doktora Fausta”. Pablo Neruda — niewątpliwie jeden z najwybitniejszych poetów współczesnych — nie doczekał się temu przekładu na nasz język. Ani jedna z książek Lukacsa nie ukazała się dotąd po polsku. Nie znamy świetnej pracy Bandy o literaturze francuskiej w ostrądrach

kilkudziesięciu latach („La France byzantine”). Wymieniłem tu najbardziej znane nazwiska. Zapewne — nasze pisma literackie drukują co pewien czas taką lub inną wypowiedź na tematy aktualne takiego lub innego przedstawiciela postępczego świata Zachodu. Ale nas interesowałyby ich dzieła, chcielibyśmy poznać ich treść intelektualną, bo wtedy lepiej poznamy drogę po której ci, którzy oceniają na Zachodzie humanistyczną, żywą, postępcową ideę kultury ogólnoludzkiej, doszli do wniosków tak nam bliskich, a tak sprzecznych z ideologią głoszoną przez rządy ich własnych krajów.

Dopóki nie ma tych książek musimy zadowolili się choćby tym, co podają nam do czytania redakcje pism literackich. Należy przyznać „Odrodzeniu”, że wyspecjalizowało się w dziedzinie spraw kongresowych. Jest to jedyne pismo z którego można więcej się dowiedzieć o akcji na rzecz pokoju prowadzonej przez intelektualistów całego świata niż to podaje prasa codzienna w krótkich komunikatach.

„Twórczość” natomiast, która jest miesięcznikiem wybrała swoisty sposób zaznajamiania swoich czytelników z tymi sprawami. Sposób kto wie czy nie najlepszy. Oto w nr. i tegorocznym umieszczono fragment ze świetnej powieści Tomasza Mann „Doktor Faust” oraz poemat Pabla Nerudy „Niech się zbudzi drwal”. Szkoda, że drukując fragment powieści Tomasza Mann redakcja zapomniała go (w dziale „Noty”) w posłowie Wandy Krągen, które wydaje mi się w swojej interpretacji sprawy niemieckiej bardzo niesłuszne. Autorka posłowie do przekładu rozdziału świetnej powieści wielkiego pisarza mówi o dziejach „grabięcego plemienia, szczepu, narodu” i traktuje ten naród jako całość. Otoż Mann właśnie, choć nie jest bynajmniej marksistą, nie traktuje tego narodu jako całości. Mann pokazał w swoim dziele tragedię upadku burżuazyjnej inteligencji niemieckiej. Podobnie jak „Buddenbrokowie”, jak „Czarodziejska góra”, jak drobne, wcześniejsze utwory Tomasza

Manna „Doktor Faust” mówi nam o powolnym upadku mieszczaństwa. Lukacs w znakomitym artykule o tej książce Manna („Die Tragödie der modernen Kunst”, Aufbau, nr 1/49, Berlin) wyrażnie mówi o tym, zresztą zajmując się czym innym — uwypukleniem mannowskiej koncepcji sztuki, zawartej w tym ostatnim jego dziele. Otoż ta mannowska koncepcja sztuki odrzuca cały antyhumanistyczny panacz nałożony na sztukę w dobie upadku mieszczaństwa. Bohater mannowskiego dzieła chce muzyki, „która byłaby z ludzkością na ty”. Szkoda, że „Twórczość” nie przedrukowała tego artykułu Lukacsa. Wyjaśni on bowiem znacznie lepiej od opinii Wandy Krągen, dlaczego Tomasz Mann jest dziś przeciwny panującej w Stanach Zjednoczonych zasadzie nietolerancji politycznej wobec działaczy postępczych i dlatego Tomasz Mann wchodzi dziś w skład komitetu organizującego amerykański Kongres w obronie pokoju na przekór i wbrew rządowi Stanów Zjednoczonych.

Piękny poemat Pabla Nerudy „Niech się zbudzi drwal” jest poematem przeciw wojnie. Bywają może wiersze piękniejsze i bardziej melodyjne niż biały, nieregularny wiersz Pabla Nerudy. Bywają może wiersze bardziej ozdobne niż ten poemat. Ale za poematem Nerudy stoi to, czego nie ma za wieloma sztuczniejszymi wierszami innych poetów — troska o to, by została zachowana godność ludzka. Nie deklarując, nie deklamując, bez użycia katarynki wyświechtanych słów i terminów, nie słuchając nikogo i niczego poza własnym rozumem i sumieniem pisze Neruda przeciw wojnie i poniżeniu człowieka.

I kiedy zamykam ten zeszyt „Twórczości”, w którym już nic innego nie chcę czytać poza mądrymi zdaniem wielkiego pisarza niemieckiego i żarliwymi słowami świetnego chilijskiego poety, wówczas myślę sobie, że oto już jest, już powstała ta sztuka, jakiej pragniemy wszyscy, a dla której Tomasz Mann znalazł tak proste i piękne określenie: sztuka z ludzkością na ty!

MARIUSZ MARGAL

NOWE FILMY

„EXPRESS MOSKWA — OCEAN SPOKOJNY”
(film radziecki)

Tytuł dzieła sztuki — książki, wiersza, dramatu, obrazu — nie jest na ogół przypadkowy. W przekładach książek tytuł oryginalny pozostawia się zazwyczaj bez zmian. Tymczasem tytuły oryginalne filmów są zagranią zmieniane nagminnie i bez ceremonii, często wyłącznie ze względów komercyjnych. Historykowi lub krytykowi filmu trudno się nieraz zorientować, że „Uciekinier” Forda jest tym samym filmem, co „Bóg nie żyje” (tytuł francuski), a „Ulica Graniczna” tym samym co „Prawda nie ma granic” (tytuł francuski).

Zastąpienie ładnego tytułu „Pociąg jedzie na wschód” przez „Express Moskwa — Ocean Spokojny” jest może niezbyt ważne, bo i film jest bezpretensjonalną komedią, ale znamienne dla tej niesłusznej i nieuzasadnionej mody, która powinna być u nas wypieniona całkowicie.

Sam film jest miłą, lekką komedią, jakże różną od niesamowitych lub nieprawdopodobnych komedi amerykańskich. Tu wszystko jest normalne i naturalne, ludzie są dobrzy i prości, zdają sobie sprawę ze swoich zadań i odpowiedzialności. Życie jest piękne, bo nowi ludzie, młodzi niezależnie od wieku,

czynią je pięknym i radosnym. Może raz i na początku rozpieszczenie i grymasy bohaterki filmu, ale potem i ona okazuje się dzielnym człowiekiem radzieckim, świadomym swoich celów.

Kolorowy system fotografii został, jak wiadać z ostatnich filmów radzieckich znacznie ulepszony w ZSRR i odbiega znacznie od systemu amerykańskiego (techników), który tak bardzo przypomina tanie kicz. Szczególnie efektywne i naturalnie wypadły wszystkie partie plenerowe, przedstawiające piękno ZSRR.

Będem natomiast wydaje mi się dublowanie filmów na język polski. Skoro możemy oglądać filmy angielskie i amerykańskie z oryginalnymi dialogami, to wcale nie szkodzi, że piękna mowa rosyjska, która tak naturalnie brzmi w ustach bohaterów radzieckich filmów i w dodatku jest jako pokrewny słowniki język, częściowo zrozumiała nawet dla nieznaającej rosyjskiego publiczności polskiej, będzie popularyzowana i tą drogą. Tym bardziej, że nałożenie nowego dźwięku jest zawsze kosztowne a nie zawsze udane, zarówno jeżeli chodzi o techniczne wykonanie jak i o czystość językową.

S E P Y
(film czeski)

Już dawno temu, kiedy film dźwiękowy stawił dopiero swoje pierwsze kroki, czeski reżyser Machaty zrealizował najpiękniejszy film o miłości, którego nie przewyższył dotychczas żaden inny, nawet francuski „Diable au corps”. Film nazywał się „Ekstaza” i pozostał jednym z klasycznych dzieł kinematografii. Aktorzy zamieniają w nim zaledwie kilka słów.

Węzł przeciwnie, Jiri Weiss współreżyser i współscenarzysta „Sepów” oparł całą akcję dramatyczną tego filmu na dialogach.

Styl filmu, choć miejscami nuży, odpowiada całkowicie dystemu, powolnemu, nudnemu życiu małego miasteczka. Nawet instrumentacja muzyczna jest do tego dostosowana, chociaż muzyka nie odgrywa żadnej roli dramatycznej w filmie za wyjątkiem sparodowanego ironicznie „Marsza weselnego”, który oddaje całkowicie atmosferę za-

wartych z konieczności zaryczyn jednego z udziałowców spółdzielni.

Akcja dramatyczna, oparta na opowiadaniu Miloslava Fabery pt. „Most” jest bardzo wąta i nie rozpracowana. Film czyni raczej wrażenie noweli, gdzie nie o akcję chodzi, ani o tożące się wypadki, ale o studium ludzi. Ci ludzie, to z jednej strony grupa prowincjonalnych bogaczy i małomiasteczkowych kacyków, którzy dla swoich egoistycznych celów i nieprzemiennej chęci zdobycia majątku i „zrobienia kariery” przeciwstawiają się budowie mostu, choć jego brak spowodował śmierć i kalectwo wielu osób w czestych katastrofach i wypadkach. Z drugiej zaś strony — garstka ludzi, reprezentujących wyszklawianą i wodzoną na pasku robotniczą ludność miasteczka. Ale podczas gdy środowisko mieszczańskie i kapitalistyczne przedstawione jest wnikliwie, a jego postępowanie i interesy obnażone bezlitośnie — to postaci w zasadzie pozytywne, proletariatu miasteczka, wypadły szaro i blade. Ludzie ci są niezdeterminowani i chwielni, nie umieją otwarcie wystąpić do walki. Inżynier Rydl wygląda raczej na naiwnego idealistę, niż na świadomego działacza. Niejasna i zupełnie nieuzasadniona jest nagła metamorfoza ogrodnika Cardy, który postanowił zacieple walczyć o utrzymanie ogrodu („mojego ogrodu”, — mówi, choć w tym ogrodzie pracuje od lat 20 jako siła najemna) aby w nieprzekonywujący sposób dojść oczywiście do wniosku, że „chodzi o coś więcej niż o most i o mój ogród”. „Przez twój ogród pójdzie droga do piękniejszych ogrodów, przez które wszyscy będą chodzić” mówi komentator do Ireny, córki właściciela ogrodu, w której kocha się inżynier. Ale to jest głos z zewnątrz, spoza małego miasteczka. Głos, który nie mówi, czy Irena znowu zamknie kratę swojego środowiska przed inżynierem, burzącym zakletę ogrody wielkich posiadaczy, „gdzie nikomu nie wolno wchodzić”.

Brak odpowiedniego przeciwstawienia postaci społecznie pozytywnych postaciom kapitalistów jest poważnym mankamentem filmu. Pominiawszy ten brak — stwierdzić trzeba, że Weiss podchodzi do swych postaci ostro i odważnie, odkrywając je przeważnie wolnym ruchem aparatu przez ościetające je przedmioty. Chwyty może nie oryginalne, ale stosowane zrecznie i na miejscu.

W ruinach K. W. Z.

Niewczesne sarkania, żale i kwasy tajemniczego K. W. Z. z „Arkony”, który chciałby pasować się na znawcę literatury...



Korespondent tygodnika „Dziś i jutro”, doszukujący się wczorajszych modeli snobizmu paryskiego w upodobaniach literatów...

„Bo i to trzeba powiedzieć: nie tylko starych ludzi przywara jest gładzenie o „dawnych dobrych czasach”...

Prawda, panie dzieju, święta prawda! Jesteśmy baraki i nie chcemy spoglądać. Ale przyrzekamy poprawę...

Osobliwe metody

Dwa tygodnie temu J. A. Król uprzedzony przeze mnie o przygotowanej polemice z wydrukowanym we „Wsi” artykułem Budreckiego...

Nie przeszkodziło to Królowi w zamieszczeniu w następnym numerze tego pisma skierowanej w zamierzaniu przeciwko mnie...

Na jej marginesie pragnę stwierdzić, iż nie sądzę, aby zamieszczony we „Wsi” felieton polemizujący z wydrukowanym uprzednio bałamutnym artykułem, zamykał innym p-

smom drogę do polemiki, i wydaje mi się, że nikt rozsądny tak nie sądzi. Nie jest też rzeczą Króla pouczenie „Kuznicy”, co powinna przedrukowywać.

W związku z przycinkami na temat spóźniania się mam poważną obawę, czy aby nie bywa ono o wiele częściej udziałem tego, co śpiesząc się bardzo, aby nie spóźnić się o tydzień, daje się nieledy w swych karkołom-



nych koncepcjach ideologiczno-literackich wyminąć całej epoce. Był ktoś, kto chciał swego czasu wykreślić z literatury polskiej Kochanowskiego...

Zaznaczam, że w sprawie osobliwych metod J. A. Króla głosu więcej zabierać nie będę.

Cuda komparatystyki

Z przedmowy T. B. Sygi do zbioru felietonów Stefana Godlewskiego pt. „Warszawa” (wyd. L. Piszer i J. Kubacki, W-a, 1948).



czym w sposób świadomie konwencjonalny, choć ironiczny — z życiem nie tylko się pogodził, ale je ukochał. Było w Rimbaud — w jego buncie i w jego pozie podeptania literatury...

KORESPONDENCJA

Irzykowski i depesza holdownicza do Piłsudskiego

W wydanym niedawno zbiorze prac publicystycznych Stefana Kisielewskiego pt. „Polityka i sztuka” w artykule „O klerku heroicznym”...

Krakowski Zjazd Literatów w r. 1932, związany z 25 rocznicą śmierci Wyspiańskiego, zorganizowany był przez ówczesnych sanacyjnych przewodników Związku jako ważna manifestacja...

Jednym z najważniejszych momentów politycznych Zjazdu miała być depesza holdowni-

...W literackiej stawie nie istnieje szczęście — mówi myśliciel. Ostatecznego wyniku o danej książce nie wydadzą stronni i hałaśliwi czytelnicy chwili...

Biedny Turgieniew

Tej niedzieli, podobnie jak i niedziel poprzednich, otworzyłem numer „Słowa Powszechnego” (Nr 54, 27/II) i zająłem się lekturą kolumny literackiej...



rowierszowej wzmiance o Turgieniewa „Wiosennych wodach” co następuje: „Oba te opowiadania (tj. „Wiosenne wody” i „Pierwsza miłość”...

Kto buja w obłokach?

Pan Jasienica trafnie wychwycił jeden niezręczny przysłówek w mojej poecie. Przypomniałem sobie do błędu. Napisałem, że gdyby istniały obiektywne warunki społeczne dla zwycięstwa koncepcji...

„Z panem „zd” — pisze pan Jasienica — można by mam nadzieję, dogadać się...” Oczywiście! Jeśli pan nie przeczy że „zmiany w produkcji, stosunki ekonomiczne i „obiektywne warunki społeczne”...



Ośrodkiem naszej polemiki nie jest tylko sprawa oceny działania jednostki i jej psychiki w historii. Fakt, że pan przecenia rolę jednostki w wypadku zjawiska historycznego...

I nie w tym, że my mniej cenimy historię, tradycję etc. ale w tym, że mamy do wiedzy o niej o wiele krytyczniejszy stosunek — ma swe źródło fakt, że wasi pisarze zajmują się średniowieczem o wiele chętniej niż nasi...

Zresztą powieści są powieściami. Powieściopisarzom wolno dopełniać wyobraźnią luk w danych historycznych, choć nie jest wszystkim jedno w jakim kierunku to czynią...

Czy jednak jest on zdolny do takich przemian? zd.

Zasługi wydawców

Mogłoby się wydawać, że gdy spółdzielnie wydawnicze przystąpiły do układania swoich planów, to w planach tych nie ostatnie miejsce zajęła literatura rosyjska wieku XIX...

W sumie księgarnia Bąka wydała dotąd następujące utwory pisarzy rosyjskich XIX wieku — Turgieniewa „Dym”, „Rudin”, „Szlachetkie gniazdo”, „Ojcowie i dzieci”, Tolstoj „Hadzi Murat”...

Redaguje: Zespół „Kuznicy”
Wydaje: Spółdzielnia Wyd. „Czytelnik”
Redaktor naczelny przyjmuje we wtorki, czwartki i soboty od godziny 11 do 15.
Adres Redakcji i Administracji: ul. Piotrkowska Nr 98 - Telefon 204-78
CENA OGŁOSZENIA: Za 1 mm na 1 szpalcie 50 złotych.
WARUNKI PRENUMERATY:
Miesięcznie zł 80.-; kwartalnie zł 240.-; półrocznie zł 480.-; rocznie zł 960.-.
Należność za prenumeratę należy wpisać do PKO konio VII-597 „Prenumerata Kuznicy”
Drukarnia Nr 4 Spółdz. Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik” - Łódź, Zwirki 1 D-63180